



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMÓŁKI

W OPOLU



KARŁKA z „KOCYNDRA”

BERY i BOJKI ŚLĄSKIE



Bery i bojki śląskie





Harlik + "Kocudras"
(Janisars Ligonis)

Karlik z „Kocyndra“
(Stanisław Ligoń)

Bery i bojki śląskie

Tom I.

Z rysunkami autora



Skład główny:
Księgarnia i Drukarnia Katolicka, Spółka Akcyjna
Katowice



884-3

3548 5

~~6436~~

884-3: 398

vf.

Akc V Nr ⁵⁹⁵4 / 63 / C

Słowo wstępne

Bajki, klechdy i dykteryjki gwarowe, które niniejszy tomik zawiera, są zbiorem z coniedzielnych gawęd (własnych i zapożyczanych), jakie od trzech lat przed mikrofonem naszej stacji nadawczej wygłaszałem, a które tak wszechstronną zdobyły sobie popularność.

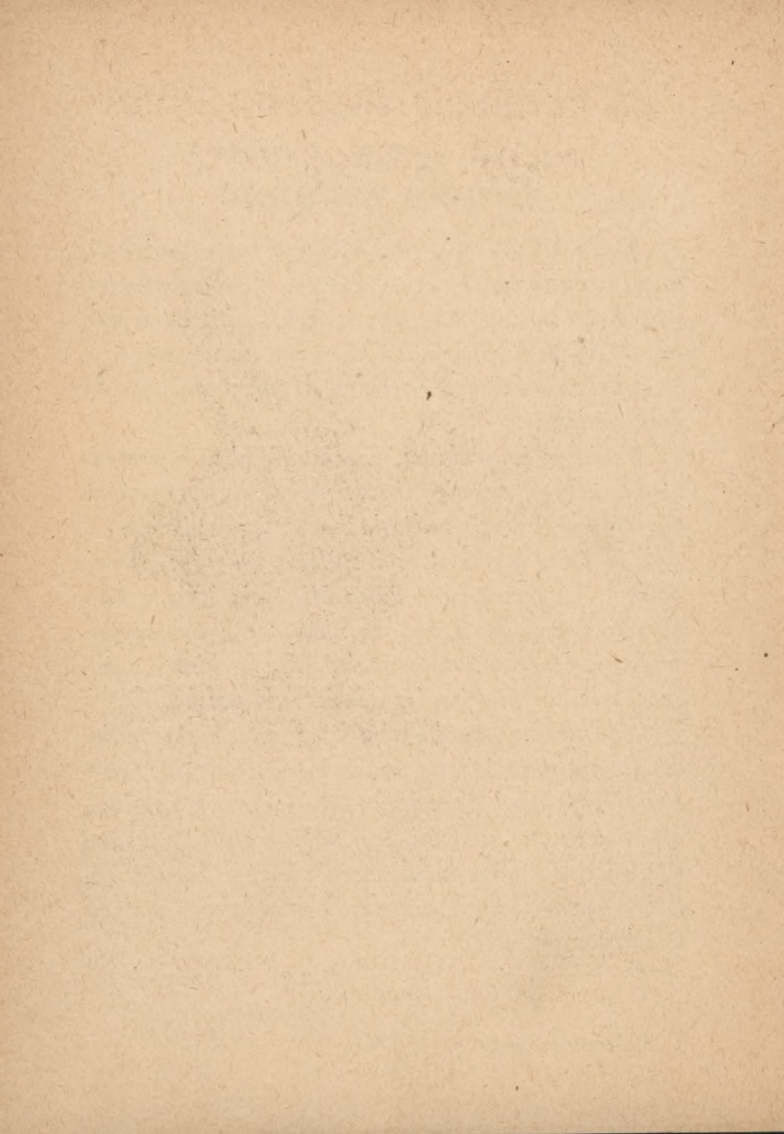
Wydając je drukiem, bez jakiejkolwiek pretensji literackiej, czynię zadość życzeniu wszystkich mi tak życzliwych radjosluchaczy i przyjaciół.

Zaś jako wygłaszane i spisane jędrnym, staropolskim językiem Imć. Pana Mikołaja Reja z Nałłowic, sądzę, że wzbogacą nieliczne u nas wydawnictwa gwarowe, które zaświadczyć winny o naszej tu na ziemi Piastów odwiecznej polskości.

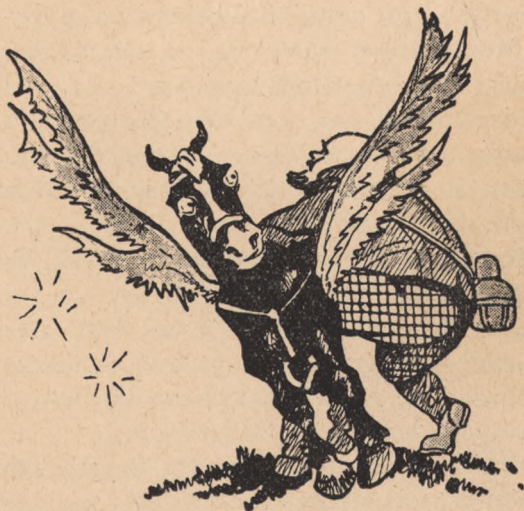
Na koniec zadokumentować one mają serdeczną moją miłość, jaką żywię ku wszystkim Hany-som, Gustlikom, Francikom, Karlikom, Manusiom, Klachulom, z którymi to miłymi towarzyszami o gorącym i pogodnem sercu, wespół humor rodzimy uprawialiśmy, krzepiąc nim rodaków w złych i dobrych chwilach.

Karlik z Kocyndra
(Stanisław Ligoń)

Katowice, 1931 r.



Ło kunszcie łosprowiano wiców (anegdotek)



Ludzie prowdziwie światowi mogom sie wdycki raduwać powodzyniem i wzięciem w towarzystwie — obok naturalnie inkszych jeszcze zalet, wtedy — jeśli poradzom łosprowiać wice — a casym jeszcze większym, jeśli wcale nie łosprowiajom wiców...

Boć ło wiela dobry taki „kawalorz“ raduje sie zasłużonym i stołym uznaniem, i każdy go rod widzi, to na łopak kiepski i usmolony „łosprowiacz“, kieremu sie zdo, że niema lepszego nad niego, wzbudzo kole siebie wstręt i każdy by go nojlepiej wytrzas na „pysk“.

Momy śtyry zorty tak zwanych „łosprowiaczy“ wiców, a mianowiciem:

1. łosprowiacz mo przy tem łosprowianiu zawsze gęba spokojno i poważno, zato ci, kierzy go słuchajom, trzymajom sie łod śmiechu za brzuchy...
2. śmieje sie ten, kiery łosprowio i ci, kierzy go słuchajom...
3. „łosprowiacz“ śmieje się jak koń, abo jak „nagi w pokrzywach“, — zaś ci, kierzy go słuchajom, pozwieszajom smutno łeby i ani sie słóweckiem nie łodezwiom...
4. słuchający chytają za stołki, flaszki, śklonki abo inksze ciężkie rzeczy i pierom z śnimi „łosprowiacza“.

Takie som łokropne skutki kiepskiego i usmolonego „łosprowiacza“. W jakisik amerykańskiej gazycie cytołech roz tako łokrutno historyjo. Otóż jakiś taki usmolony „łosprowiacz“ ze zorty nr. 4 łopedzioł kiejś za porządkiem coś łosiem takich usmolonych i głu-

pich „wiców“. Ci wszyscy, kierzy go słuchali, wpadli w tako złość, że chycili pana brata za łeb, wywlykli go na dwór, łobloli petrolejem, zapolili, a potem dookoła niego tańcuwali jakiś dziki indjański taniec. Potym przywiązali do niego postronek i płowili go w rzyce, zaś jak go z tej rzyki wywlykli, to go potem włócyli po gościńcu przy fakli¹⁾). Zaś zbańturzone ze snu bez to larmo matki dźwigały kole łokien swoje dziecka i padały: „Dziwejcie się kochane dziatki, jaki to koniec ceko takiego, kiery łosprowio głupie i stare „wice“. — Dowejcie pozór, coby i wos kiejś coś takiego nie trefiło.“

No i nałopach.

Jo znóm jednego karlusa, takiego se nic nieznaczącego i skromnego, chtóry tam tak dalece nic nadzwyczajnego nie poradzi, (no troszycka tam poradzi babrać na płótnie abo papierze, — myśla ło malowaniu, żebyście zaś niekierzy nie myśleli ło cymś inkszym,) — ale za to faron wiecie poradzi łosprowiać, jak mało fto (sorta nr. 1). — I co z tego? Wszystkie kobietki łod szesnostego roku do lot sto, przajom²⁾ mu, piezczom go i całujom, no a chło-

¹⁾ pochodni.

²⁾ kochajom.

pi cęstujom go gorzołkom, piwskiem i nojfajniejszemi cygaretami (śtyry za pięć groszy) — no i Bóg wie cego by mu tam jeszcze nie dali, i niewiadomo jakie go tam jeszcze szczęście z kuli tego ceko! Jeny mu szczęście zowiścić, aże zowiścić.

Koždy „łosprowiacz“ musi se zmiarkuwać trzy rzeczy, kiere som związane z jego fajnym kunsztym, mianowicie:

1. „Wic“ czyli „kasek“ musi być krótki;
2. fajnie łopedziany;
3. koniec zaś niełoczekiwany.

Nojważniejszym ze wszystkich jest punkt pierwszy, to jest: zwięzłość. Długi „wic“, jest, jak nieprzymierzając, srogi komin fabryczny, na kiery sie włazi na piechty. Toć widok z wierchu, jak sie tam wlażło — jest bardzo piekny, ale cóż, kiej tyn co wloz, zmęcół sie przy tym farnońsko i wszystkiego mu sie potem łodechce. Łościganie „wica“ jak guminu, łosprowianie roztomaitych drobiozgów bez znacznio, psuje „wice“ i jeno drożni tych, kierzy go cierpliwie słuchajom. Słuchający taki doprowadzony do łostateczności, kiej straci cierpliwości, może nawet popełnić mord, za kiery nie powinien być „strofowany“!

Joch som słyszoł roz, jak jeden łosprowioł „wica“, a był to niby na pozór karlus ucony, ba, padali, że ponoć jakiś dochtór, cy coś takiego. Łosprowioł tak:

Łopowiem państwu fajnego „wica“. Ta rzecz zdarzyła sie w niewielkiem mieście. Miasto to było, jakech im już pedzioł, nie srogie, ale bardzo ruchliwe; leżało kajś nad Przemszą, ładowali tam na „szify“¹⁾ mąłka, krupy no i drzewo z pioskiem. Ludność tego miasta, to byli przeważnie handlyrze, to jest tacy, co sie to zajmowali handlym. Zkuli²⁾ tego w tym miasteczku było moc szynków, w tych szynkach zaś tocyło sie kupa ludzi, popijali se gorzołka, piwo, selter, limonada. Roz do jednego z tych szynków — juzech zapomniał blank jak sie zwoł, może pod „Eisenbaną“ cy tyż pod „starym kokotem“ — dość, że przyszoł tam roz taki naprany handlyrz. Dyć znocie, moi państwo, takiego napranego handlyrza, kiery to som nigdy nie wie, cego by chcioł. Tóż kiej wloz, kozoł se jeszcze dać gorzoły, potym śtyry porcyje „wusztu“ ze zymfem, potym gulaszu, no i piwa, piwa przedewszystkiem! Siedzi se tak, je i pije — pije

¹⁾ okręty.

²⁾ z powodu.

i je, a nad nim wisi klotka, a w tej klotce siedzi se kanarek, prowodziwy „Harcer“ i śpiewo jak sto dREWIEŃ! Ja. Handlyrz słucho, słucho i łogarnył go zachwył. Toć wiecie, że kanarki śpiewajom bardzo pięknie, lo tego tyż nazwali nawet wyspy Kanarskie jeich mianem. Handlyrz słucho tego kanarka, naroz woło kielnera. Przylatuje kielner, taki se zwyczajnie karlus z rubom paplą, poklabustrowanym¹⁾ szakiecie i cornom hadrom²⁾ pod pachom — i pado: „Słuchom pana dobrodzieja, co moga dać!“ „Wiele kosztuje ten kanarek?“ — „Ten? kosztuje dwiesta złotych!“ — „Kozcie mi go upiec na maśle.“ Kielner spostrzego, że handlyrz jest bogaty i może se na tako zochcianka pozwolić; sjon klotka z kanarkiem a zaniós go, nie padając nic, do kuchni. Za mało chwilka przyniósł pieczonka. „Sam majom, kanarka!“ „Ja? Tóž dobrze, uchlastnom mi tam za dwadzieścia groszy!“

Słuchacze zaśmioli sie bez grzeczność, bo se myśleli, że „wic“ już sie skończył. Ale kaj tam, „łosprowiaczowi“ było jeszcze żol rozstać sie ze swoim pięciomilowym „wicem“. Łobliżnył sie i zacon łosprowiać dalej: — „No cóž

¹⁾ poplamionym.

²⁾ szmatą.

tak gały na mnie wytrzyscosz? Łodchlastnyć mi tam z tej pieconki za dwadzieścia groszy i fertig!“ Kielner zaś skrzeczy: „Jakóż to! Toch jo dło nich zmarnował takiego drogiego, fajnego kanarka, to przeca nie idzie!“ — „Panie starszy! Radza im po dobroci, zawrzą se ten pysk i nie godajom mi nic. Jo chca za dwadzieścia groszy kąszczek kanarka i już.“ Zrobiło sie larmo, łostuda¹⁾ i pranie. Poszli po policyjo, i zdo mi sie, że spisali protokół.

Wszyscy słuchacze siedzieli jakby im chto gemby zaklajstrowoł, a jeden z śnich poszoł do „antreja“²⁾, wyszukoł mantel łod tego „łosprowiacza“ i wypolił w nim cygarom srogo dziura.

Ftóż z vos, mili moi czytelnicy, potępi go za to? — Wiem, że nicht!...

Tóż z tego widzicie, jak sie nie powinno łosprowiać „wiców“.

Taki „wic“ to powinien mniej więcej wyglondać tak: — Bez łotwarte dźwierze jakiegoś fajnego „kafeju“ zaglondo cyjasik głowa: „Przebocom, cy majom „Napoleonsznita“³⁾ ze „ślagsahną“? — „O ja jest, prosza bardzo, wle-

¹⁾ zgorszenie.

²⁾ przedpokój.

³⁾ francuskie ciastko z kremem.

zom sam.“ Włazi terozki cało figura. Sejmuje z łeba czopka i pado głosym żałośliwym: — „Litościwi panoczkowie, dejcie kasek kołoca ze „ślagsahną“, jużech bez trzy dni nic nie jod“!...

Abo:

„Panie Hosenduft! Całe miasto łosprowio, co Kugelman żyje z jeich kobietom.“ — Na to pado Hosenduft: „Oj-joj! Wielgie mi szczęście! Jak byda chcioł, to tyż byda z śniom żył!“

Abo:

„Richard, cegóż sie ty tak trzymosz za gembą?“ — „No dziwej się, Karlik, ten buks¹⁾ tam chcioł mie piznać²⁾ w pysk.“ — „No jak cie chcioł, to cie przeca jeszcze nie piznył, czamu sie tedy trzymosz?“ — „No bo mnie piznał!“ — „To trombo jedna, czamu godosz, że cie chcioł?“ — „No mamlasie³⁾ jeden, jakby przeca nie chcioł, to by mie nie piznył!“

Abo:

Na lotnisko w Poznaniu przyszło jakieś małżyństwo. Łon był handlyrzem, chcieli ło-boje „aeroplanym“ pofurgać do Gdańska, bo

¹⁾ Andrus.

²⁾ uderzyć.

³⁾ gamoń.

im strasznie było pilno — do cego, nie wiem. Pilot łobejrzoł se ta porka i pado, że nie może śnimi polecieć, bo pado, że takie małżyństwo nie poradzi tak długo siedzieć cicho. Zacnom sie przegaduwać, abo wadzić, ręcyskami na prawo i lewo ciepać, łona, to jest ta żona tego handlyrza, zacnie mnie za ręką szarpać, jo zapomnia ło motorze i może z tego być wielgie nieszczęście. — „Ale my nie bydziemy sie wadzić, bydziemy blank cicho, bo my z tej zorty małżonków, co se jeszcze prajemy. Mogom, panie pilot, być spokojni.“ — „No, tóż dobrze“, pado pilot, „zabiera wos, ale pod warunkiem, że jak sie kiere z wos aby słówkiem łodezwie, to za każde słowo zapłacicie mi sto złotych.“ — „Dobrze“, pado łona, „ty Szmul, czy sie godzisz?“ — „Godzę sie“, pado Szmul. — Siednyli do aeroplanu i polecieli. Kiej przybyli do Gdańska, wyloz pierszy pilot i łoglondoł maszyna. Potem pado do pasażyra: „No, panie, trzymoł sie pan, ani słówkiem sie nie łodezwoł?“ — „Ani słówkiem“, pado pasażer, „ale ło mało co, to bych był przegroł.“ — „No, pojakiemu?“ — „Ano jużech chcioł wrzasknąć, jak mi kole Bydgoszczy baba wyleciała, alech se prędko pysk zatkoł ręcyskiem i anich pary nie puścił.“ —

Tak, widzicie, mniej więcej trza łosprowiać.

Gorzyj jednak, jak ktoś, co łosprowio, zanie łopisywać miejsce, kaj sie to stało, zanie godać ło latach swoich bohaterów, abo jak łoni wyglondali, wtedy, bratowie, „wica“ djobli weznom!

Niema tyż nic gorszego nad „łosprowiaczy“ łoztargnionych, abo zapomliwych...

„Łopowiem Państwu „wica“... Było to w roku tysionc łoziemset pięćdziewiędziesiątym... Nie, co jo godom... w tysionc dziewięćset... dziewięćset... Pierzyna... zaroz, w kierzym to było roku?...

Ale smolić tam na rok... — wołajom słuchacze, łosprowiajom dalej!...

— Razem, razem! W mieście Jełabudzie mieszkoł jakiś Grek... nie... nie Grek, a jakiś Ormianin. Hm? Nazywoł sie... jakóż sie to ten pieron nazywoł... A to dopiero blank ech se zaboczył...¹⁾

— Ale smolić tam jak sie nazywoł, dalej! — skrzecom słuchacze.

— Tóż ten karlus pojechał se łokrentem... nie, przeproszom... nie łokrentem... poszoł se na piechty...

¹⁾ zapomniał.

— Aeroplanem!!!

— Nie, wtencas jeszcze nie było „aeroplanów“. Naroz spotkoł jakoś staro pani... pani X. Chocioż nie... Łona była bardzo jeszcze młodo, bo była na „Hochzeitsreizie“¹⁾. Ale nie, nie mogła być młodo, bo przeca nie miała zem-bów? Bo wiecie... przeca cały „wic“ polygo na tym... A może tyż nie? Aha!...“

Jeśli ftoś takiego „łosprowiacza“ zatrzaśnie, to nie tylko, że nie dostanie „śtrofy“, ale go jeszcze za to wynadgrodzom! No toć inaczej być nie może....

Som tyż i tacy „łosprowiacze“, co to zacnom w towarzystwie łosprowiać coś takiego trocha śmierdzonego, rozwlekłego — naroz sie zaczerwieniom jak kęs surowego mięsa i przerywajom.

— A co dalej?

— Przepraszom... dalej... to trocha świńskie, joch blank zapomniol, że sam som kobiety...

* * *

Nieszczęściem w towarzystwie som też tak zwani „podpowiadacze wiców“.

¹⁾ podróż poślubna.

— Panie Karlik! Bydom tak dobrzy i łopedzom tego „wica“, co go to łosprowiali łońskiego tydnia... Takechmy sie z śniego uśmioli.

— Jakiego „wica“?

— No wiedzom, ło tym małym żydku, co to prosił we szkole rehtora ło urlop, a kiej go sie rehtór spytoł, na co chce mieć urlop, pedzioł: „Mój tate pedzieli, co u nos w doma bydzie jutro łogień, że sie spolimy“. No, panie Karlik, niech nom to łopedzom!...

No, powiedzcie, moi mili czytelnicy, co mo wtedy zrobić taki Karlik?

Czasem można tyż łopedzieć jakiegoś starego i łoklepanego „wica“, ale trza sie dobrze zastanowić, kaj. We fajnym towarzystwie, takim, co to łązi po kafejach i wycytuje „wice“ w roztomaitych „Witzblatach“, trza sie, bratowie, mieć na baczości.

Roz przy stoliku siedziało sześć osób: trzech „schauspielerów“¹⁾, dwóch redachtorów i jedyn „rechtsanwalt“²⁾. Usiodłech se kole nich, bo mie wołali i chcieli, cobych im łopedzioł jakie „wice“. Zaconech łosprowiać wszystkie znane mi „anegdoty“.

¹⁾ aktorów.

²⁾ adwokat.

Zaś po każdej łopedzianej wszyjscy wyjmowali se z kabsy „śnuptychle“¹⁾ i przykładali końce do uszów, tak, że ich twarze były łobramowane cymś biołem.

Jużech nie móg wytrzymać. Pytom sie: Co to mo znaczyć?

— To? Siwo broda!

— Czamu siwo broda?

— Ano, bo wszystkie jeich „wice“, panie Karlik, kiere nom łopedzieli, som już takie stare, że majom siwo broda!!...

Toć gorszyłech sie zkiż tego bardzo.

* * *

Jak sie łosprowio „wice“, to trza sie jednak tyż troszka licyć ze składem słuchających.

Som „wice“ lo dziółch²⁾). Som i lo wydanych kobiet. Som też specjalnie „męskie“. Te „wice“ z trzeciej wymienionej kategorii można też łopedzieć tej drugiej wymienionej kategorii, ale przodzi trza spenetrować, co i komu można pedzieć. Ale broń Broże łopedzieć coś takiego niewinnym uszkom dziółszek, dziepiero byś se narobił: Wszystko, co im łopowiesz, to stare, wyśmiejom sie z ciebie, to już downo

¹⁾ chustki do nosa.

²⁾ dziewcząt.

słyszały! A jakże... Ano takie to już mamy
casy... Postęp — padajom wszyscyjcy!

Byłech kiejś w jakimś większym towa-
rzystwie u znajomych. Dziółski obsta-
piły mnie i prosiły, aby im Karlik łopedzioł jaki
fajny „wic“, ale taki ze „zymfem“¹⁾.

— No, jo bych wom tam, dziubecki, pedzioł
takiego „wica“, ale sie boja, czy tam w nim
nie bydzie trocha za dużo tego „zymftu“!

— O, to nic nie szkodzi, łopedzom, łope-
dzom, Karliczku kochany!... Zarozki... (do mat-
ki:) Muterko, idźcie se ino na chwilka do dru-
giej izby i zawrzyjcie za sobom dźwierze!...

Ano, czy to nie „postęp“, powiedzcie moi
Państwo?...

* * *

No, na tym kończy swoja nauka „Jak łopo-
wiadać wice“. Myśla, że sie niejednemu z was,
moi kochani czytelnicy, przydo... prawda?



¹⁾ musztarda.

Rozdział I.



*Z gruby, huty, werku
i inkszej przejentej roboty*



O górniku słów kilka i o tem, jako jest z mężów nojlepszym.

Humoreskę, czyli bajkę tę poświęcam w dniu św. Barbórki Wam, górnicy kochani, wężale dostojni i mili, wiarusy dzielne, walczący o wolność tego kraju zawsze w pierwszych szeregach. Od zarania mojej młodości łączy mnie z Wami więcej niż przeciętny sentyment. — Toć i ś. p. ojciec mój, ten pieśniarz Waszej doli, przeszło lat 30 pracował na kopalni, sławnym „Heinitzu“ w Bytomiu. Nie jako „Bergmon“ coprawda, ale dostarczał Wam jako maszyniok światła do podziemi i światła do Waszych serc polskich. — Z rozrzewnieniem każdorazowo wspominam te czasy, kiedy jako dzieciak, wyprawiony przez matkę z wierzszą do tatulka, zastałem w „Maschienhauzie“ gromadę Was spracowanych po szychcie, nie spieszących do rodzin, a wsłuchanych z jasnymi oczyma w opowiadanie dawnych naszych dziejów. Nic nabożeństw tych nie przerywało, chyba warkot maszyn i czasem głos jakiegoś zamorusanego intruza, który wołał: „Świetlorz, tam przy szoli¹⁾ — buła²⁾ zgasła.“ Wtedy dopiero pryskał czar. — To też Wam,

¹⁾ winda.

²⁾ lampa łukowa.

stara wiaro, którzyście jeszcze przy życiu i którzy te czasy tak niedawne, a jednak dalekie pamiętacie, Wam, którzyście tu na wolnej ziemi i Wam, którzyście pozostali tam — z tego miejsca cześć i serdeczne „Szczęść Boże“. Zaś gwoli rozweseleniu, słuchajcie historyjki:

Chciałbym Wom — mili Czytelnicy — powiedzieć coś małowiele o górniku, czyli jak sam u nos pospolicie padają, o „Bergmanie“. Muszę jednak do tego zrobić tako mało treściwo przedmówka, a to skiż tego, żeby z góry unieвозмоżliwić podejrzenie i zarzuty, że włożę nie do swojej kapusty.

W dzisiejszem społeczeństwie nie brak ludzi podejrzliwych, sznupających¹⁾, wszandy podstęp i cygaństwo. Widzącego w bracie swoim nic, ino wilka, abo inkszego dropieżnika. Zaś ino łon som, to baranek niewinny. — No, czy nie jest tak, powiedźcie sami?

Całe szczęście, że nie ma takich między bracią górniczą, bo:

„Kto cnotę piękną mianuje,
Chętnie ją wszandy znajduje“,

¹⁾ węszących.

jak pedzioł poeta średniowiecza ś. p. Rej, czy tyż jakiś inkszy Mikołaj z downych czasów.

Jakby mi sie tak chto spytał, kto był pierwszym górnikiem? — to bym mu łodpedzioł, że wiadomość o górniku sięgo fórt na zadek¹⁾, to jest nie ino do casów przedhistorycznych, ale i przedgeologicznych i przedpotopowych, bali, sięgo jeszcze bardziej nazód, t. j. aż do dziejów Olimpu. — Słyszeliście przeca już coś o tym Olimpie, kaj to te roztomaite pogańskie bożki i bożkinie siedziały. — Prawia Wom to skiż tego, żeby niekiery nie myśloł, że to jakosć destyla²⁾. — Otóż widzicie, że jakiś poeta z tego Olimpu już wtedy tak śpiewoł:

„Górnik to górnik, ten śmiałek
Sam w ślady wloził Prometeja“.
Tak mówią stare kroniki,
Kroniki mówią tak, nie ja.

Co go ciągnęło na Olimp
I jaki był magnes czaru?
Jak głoszą, chciał się koniecznie
Boskiego napić nektaru³⁾.

¹⁾ w tył.

²⁾ wyszynk wódki.

³⁾ Nektar, to niby tak jak dzisiejsza gorzoła.

Bogowie go też wpuścili,
Czego im nikt z nas nie gani...
I wlaźł tam górnik „bibuła“
O wiecznie wyschniętej krtani.

Z Apollem wypił „bruderschaft“
I wszystkie muzy z nim pija,
A nawet, o! przeniewierstwo!
Jak słychać, jest na „ty“ z Io.

Jowisza szczyt oburzenia
Do takiej aż wspiął się skali,
Że, było do przewidzenia,
Z Olimpu chłopca — wyćpali...

Od tego zaczął, że Hebe
Skaptował, trafił tem w sedno;
Zaledwie kwatyrka wychylił,
Już padoł: „Dej jeszcze jedną.“

Ehej!! Zeus pewnego razu
Zakrzyknął, aż grzmiało w piekle,
Ten popijała wciąż trąbi!
Nektaru ubywa wściekle!

Kroniki stare łośprowiają, że bogowie
mszcząc się za to, że tyla tego nektaru wy-
słępoł, stworzyli naskwoł przed potopem cało
kupa: „Ichtyosaurów“, „Plesiosaurów“, „Igua-
nodonów“, „Pterodakcyłów“ i roztomaitych
inkszych krokodyłów i gizardów na to, żeby

górnik-sztajger miał z czego „żyć”¹⁾ przy egzaminie w szkole górniczej.

Przełaząc terozki z dziejów mistycznych, czyli bojkowych, wprost do stworzynio świata, nie podobno wspomnieć o tem:

Że w mgle chaosu,
W eterów krystale,
Już były dla nas
Rudy i metale.

Że ledwie w skórę
Oblekł się nasz globek,
Już pierwszy górnik
Mógł iść na „zarobek”.

A kiejś my już odrazu wleźli do raju, to nie-
ma żodnej wątpliwości, że Adam, pierwszy
nasz ojciec, był górnikiem. On to, widzicie,
pierwszy nosił listek figowy miast łaty²⁾). Nosił
go poprowadzie na przodku, a nie, jak był po-
winien, na zadku, ale to już wina Ewy, kiero
chciała, żeby tak było, czamu, to niewiem,
podobno tako wtedy była moda w raju.

Że Noe, kiery podczas potopu jeny dlo tego
sie nie utopił, bo wysmarował arka terem i as-
faltem, świadczy, że i on był górnikiem-nafcia-

¹⁾ przepaść.

²⁾ fartuch skórzany.

rzem, to jest z tych górników, o których Wom już tyła prawil inżynier Nicz.

Że Noe musioł być górnikiem, świadczy też o tem to, że mioł jednakowe zapatrywania z górnika, co do fajności, bowiem, jakieśmy sie uczyli, Noe nie chcioł obcować z Chamem.

Przechodząc dalej ta naszo biblijka do Herodota, Nestora, to oni zawsze kajś cosik wspominają o górnika i hutnika. Nojstarszym dokumentem górnictwa z tych czasów, to słup soli, w kiery zamieniono została żona Lota, skuli ciekawości. (Dzisiok by sie to już nie przytrefiło, bo już ciekawych Lotek nie ma, pra?) Zaś dokumentem hutnictwa to wysoki piec, w kierym przetopiono zamiast rudy, siedmiu Machabeuszów, (może być, że tyż rudych), no i jeszcze jeden „werkzeig“¹⁾ górnicy to jest drabina Jakubowa.

Kiebych tak chcioł fórt jeszcze godać o górniku i wyliczać jego wszystkie zalety i cnoty, to zaszoł bych za daleko — tak daleko, żeby ich, wierza, potym stamtąd wcale widać nie było.

Nojwiększym i najmilszym, jak to padają, walorem naszego bergmana jest to, że górnicy

¹⁾ narzędzie.

wszyscy są nojlepszymi mężami! — (No, czy nie prowda kobietki, wy od górników?) Toć, bo i tu poeta prawi:

„Jeżeli kiedy do męża
Gwałtem zatęskni podwika,
K' temu swój rozum wyteża,
By zwabić liczką — górnika.

Miłość ta ku górnikowi mo jednak jeszcze inksze, głębsze powody, kierych tak od razu nie dostrzeżesz.

Czy jest po prowdzie jaki poeta, kiery by poradził łopisać piękność kobiety bez skarbów, kiere górnik na świat Boży lo tychże kobiet z wnętrza ziemi wydobywo:

Słuchajcie, jak tu śpiewo poeta:

„Twe oczka z turmalinu,
Jak złoto — włosy płowe,
Twe usta są z rubinu,
A zębki opalowe.
Twe biodra, jak z granitu,
Twa cera marmurowa,
Twój język z karnalitu,
A srebrem twoja mowa.

I, co też prawda szczera,
Że każda z was dostojna,
W tem srebrze nie jest sknera,

Aż nadto jest w nim hojna.
Twej rączki alabaster
Wydaje nam rozkazy,
Twą wolę bierzem za ster,
Opoko! milion razy.
Na inne minerały,
Zapuszczam już zasłonę,
Boby się pogniewały
Brylanty — kruszcze — one!“

Zresztą co tu dużo godać! Czy nie górnik,
Wy piękne nasze i słodkie, dostarcza Wom
klejnotów i świecidełek — kiere choćby przeca
nojskromniejszo z Vos, zawsze mo rada? Czy
nie górnik, powiedzcie!

Toć i tu pieśń mówi:
„Na bryłę patrz złotą:
Górnika w niej trud!“

A każdy z nos gotów, pierzyna, śpiewać
dalej:

„Czego chcesz. luba? czy bryły złota,
Powiedz! wygrzebię sam piasek z rzeki,
Rozkaż, pobiegnę do Kalifornji,
Chociaż kraj to jest dosyć daleki.
Ural, Arizon, Meksyk, Sumatra!
To dla górnika jest bagatela:
W głąb ziemi drze się po klejnot drogi,
Który cię zdobi i rozwesela.“

A teraz jeszcze jedna dość ważna rzecz. Arystoteles czy jakiś inkszy pieron, kiery to męczy w gimnazyi naszych przyszłych „sztajgrów“¹⁾, pedzioł: „Similis simili gaudet“, t. zn. podobne cieszy się podobnem. Łobejrzyjcie se ino dobrze górnika w paradnym jego stroju. Czy nie zmiarkujecie podobizny z kobietą? Jakla²⁾ z kraglem, knefliki³⁾ gryfne, świecące, aksamit, kołpak, czyli czopa, podobny do gorczka, z kierym kobieta wdycki obcuje, no i piórko, stojące na nim — a prowda — jeszcze łata, czyli fartuszek, po prowdzie nie z przodku a ze zadku, no, ale nasze dzisiejsze Ęwy, w przeciwieństwie do downej, wolą zaś, żeby górnik miał ten fartuszek na zadku! Czamu — to już jeich rzecz — dość, że tak jest.

Życie górnika, jak wiadomo, jest pełne grozy i niebezpieczeństwa, to też nie ma dziwoty, że górnik, aby o tem nie myśleć, musi się od czasu do czasu narkotyzować rozmaitemi eliksyrami, ostro woniącemi. Złośliwi i brutalni ludzie padają, „że se bergmon zaloł pała!“

To nieprawda, — a jeśli sie kiejs coś takiego przytrefi, to tylko samotnemu, nigdy zaś żyniatemu.

¹⁾ sztygarów.

²⁾ kabat.

³⁾ guziki.

W zaginionych kronikach kopalnianych w Wieliczce znaleziono wiersz, który brzmi w starej gwarze:

„Idzie górnik drogom, karbidką wywija,
Pewno nie żyniaty — łożar sie bestyja.“

To słowo: pewno nie żyniaty — świadczy najlepiej, że coś takiego się nigdy żyniatymu nie przytrefiło.

Tak było dawniej — czasy się po prostu mało wiele zmieniły, ale zaś nie tak bardzo! Prośda?

Ale też zato ten żyniaty górnik jaki miły, kiej:

„Dziubeczka wartko lubej daje,
I bieży w podziemne skarbnika kraje...“

Dziubek, czyli całus, to dla górnika rozkosz największo... Pożegnanie... Chwila rozstania... do szybu, setki metrów pod ziemią... Czy idzie wtedy pedzieć do męża: A nie łożryj się zaś jak biała, po szychcie. — To się pado... ale delikatnie... a najlepiej koże się to pedzieć „Świgermutrze“¹⁾! Łona to już tam wyręchtuje tak, że zięć górnik nigdy się nie będzie sprycół śnią ło takie ździebko — zwyczajnie — nigdy nie wiesz, czy za chwilką nie pudziesz tam-

¹⁾ teściowej.

tędy. Majtniesz ręcykiem, no i „Szczęść Boże, staro szolo!“ to wystarczy. — O tak, tak — groza jest zawsze do szczęścia potrzebno.

A one, te nasze dziubki? Jakież łone som za to dło górników? Przają im, jak sto drewnien i som im więcej abo maniej wierne, do grobowej deski... A jeśli kiedy przyjdzie czas, to zazwyczaj te starsze prawie nigdy sie po roz drugi nie wydają, zaś te młodsze jak sie wydadzom, to jeny za górnika, jeśli sie chto inkszy prędzej nie trefi.

Ano, trudna rada!... i Szczęść Boże!



Na jednej z kopalń na Śląsku wypłoco w cechowni sztygar „forszus“¹⁾). Niedaleko biurka jest łokno łatwarte na łożcie i ciągle przetwieranie dźwierzy powoduje przeciąg. Sztygar zwraca się do stojącego w pobliżu bergmona Ochrzontka:

— Ochrzontek, „machen Sie das Fenster zu!...“

— Zaroz, panie sztajger.

Sztygar wypłoco dalej, ale spostrzeżo, że łokno w dalszym ciągu jest łatwarte. Zwraca się więc ponownie do górnika:

— Ochrzontek, „Sie sollen dort das Fenster zumachen!“

— Zarozicki, panie sztajger!

Ochrzontek jednak łokna nie zawiero, a kie sztajger po pewnym czasie to zauważył, wrzeszczy zły:

— Ochrzontek, zjedliście regiment djobłów, wy stary mamlasie, to łokno mocie zarozki zawrzyć!

— Jeckusie, panie sztajger, a dyć mogli mi to tak zarozki pedzieć, a byłbych to łokno już downo zawar.

*

*

*

¹⁾ zaliczkę.

W starej hucie na „Wilhelminie“ wywieszono na murze tablica z napisem: „Jedzenie w hucie pod karą wzbronione.“ Po paru dniach trafił majster szmelcyrza Pietruszkę, siedzącego na przewróconej taczce i zajądającego z apetytem śniodanie, tóż majster na niego z pyskiem:

— Pietruszka, poradzicie to cytać?

— Toć poradza, panie majster.

— Ja, poradzicie? A nie cytaliście to na tabuli, że w hucie jest zakozano jeść?

— No dyć prawie, panie majster, joch to tam cytoł, ale tam stoi, „ausdricklich“, że pod karą nie wolno jeść, a jo se jem przeca na karze¹).

* * *

Ten som majster zamówił kiejś tego samego Pietruszkę na niedziela do pracy, na tak zwano „tupłówka“. Pietruszka przyłobiecoł, że przyjdzie, tymcasem przyšli wszyscy zamówieni prócz Pietruszki. W poniedziałek robi mu majster z tego powodu wyrzuty i pyta:

— Czamuście wczora na „tupłówka“ nie przyszli?

— A boch był w kościele, panie majster.

¹) taczce.

— Ja, w kościeleście byli? A nie słysze-
liście to, jak tam śpiewali: „Duszo moja słuchaj
Pana“¹⁾?

— Nie — pado Pietruszka — tegoch nie
słyszoł, alech słyszoł, jak śpiewali: „Jużem
dość pracował dla ciebie, człowiece“²⁾).

* * *

Podczas kąpieli w rzece jakiś robotnik wy-
ratował tonącego „Aufsehera“³⁾. Wdzięczny
„Aufseher“ ścisko ręką swego wybawcy
i pado:

— Mogom żądać łodemnie czego chcom.
Wszystko dlo nich zrobia.

Na to robotnik:

— Mom wielko prośba, panie „Aufseher“.
Niech, lo Boga, nic nie padajom moim kamra-
tom, żech to jo ich wyciągnął z wody... bo
miolbych się pierona z pyszna.

* * *

Jakiś robotnik łostoł przyjęty do fabryki,
w kierej jednak nie uznawali przerwy na śnio-
danie. Trza tam było robić „durch“ aż do
łobiadu. Kiej przyszoł cas śniodanio, nasz ro-

¹⁾ i ²⁾ znane pieśni kościelne.

³⁾ dozorcę.

botnik wyjon se z szakieta kromka chleba i zacon go jeść. Kiej to ujrzoł „werkmajster“, z pyskiem na robotnika.

— Hej, a to co? U nos sam nie ma śniodanio!

— Joch se tyż tak padoł, panie „werk-majster“ i lotego ech se przyniośł śniodanie z domu.

* * *

— Słuchejcie jeno, panie Gnojek, vos kiejs musiało przy robocie spotkać jakieś nieszczęście, prowda?

— Po jakiemu, panie sztajger?

— No, bo zawsze przed robotomiecie taki pieroński strach!

* * *

W jednej z dzielnic Wielkich Katowic pękła rura wodociągowa, tak, że trzeba było zamknąć główny kran. W trakcie tej czynności, wykonywanej przez miejskich monterów od wody, idzie sobie jakiś obywatel mocno, jak to mówią, naprany i tak zygzakiem z jednej strony ulicy na drugą, aż podchodzi do miejsca, gdzie monter właśnie zakręca główny kran. Widząc to pijany, staje wściekły i powiada:

— A mom cie! To ty pieronie tak kręcisz tą ulicom, że nijak du dom trefić nie moga.

* * *

Do jednego z przedsiębiorców budowlanych zgłasza się pewien bezrobotny murarz, prosząc o robotę.

— To nie pójdzie terazki, mój kochany, cegielnie strajkują, nie moga dostać materiału. Wszystkiego mam ino coś około 100 cegłów na placu!

Na to murarz:

— Sto cegłów? Jejkusie panocku, dyć mi tego na cały miesiąc styknie!

* * *

Karlik, w kościele siedzący w ławce obok klęczącego kolegi Gustlika:

— Gustlik, fedrunku¹⁾ nastrzelołeś mi to na jutro?

Gustlik: — Ja.

Karlik: — Pójdź, siednij se sam do ławki, bo sam jesce placu za tyła.

(Gustlik siada.)

Karlik: — A kapa²⁾ zapioneś?

Gustlik: — Nie!

¹⁾ węgla.

²⁾ strop.

Karlik: — Mazoku djobli, toż wylaż z ławki, bo sam widzisz, za ciasno!

* * *

Jak wiadomo, robotnicy powracając ze szychty do domu, zabierają z sobą zwykle klocek pod paża, abo jakiś inkszy kącyczek deski. Na jednej z kopalń zarząd tejże zakozoł tego. Kiedyś wraca ze szychty „hajer“ Duda i mo pod pachą dość srogom deskę. Naroz kole „wachtyrza“, jak na złość, spotyko go „Obersteiger“¹⁾ i woło za nim:

— Hej, Duda, takich desek nie śmiecie z gruby zabierać, nie wiecie to o tem?

— Ja, panie „Obersteiger“, jo to wiem, alech jo sie, widzom, niedowno łożenił, toż mi ta deska jest koniecznie potrzebno...

— Ale to przeca za długo deska — pado „Obersteiger“.

— No dyć jo wiem, panie „Obersteiger“, że za długo, ale to sie jom przeca w doma urznie!

* * *

¹⁾ nadgórník.

Felezunek.¹⁾

U naszego pana dozórce,
Jest „felezunek“ przy komórce. —
Pan Freitag, nasz Oberhajer
„felezuje“:
— „Józek Majer“... — Jest!“ —
„Rygot... Szczygot“... — „Jest!“ —
„Wicek Plutta“... — „Jest!“ —
„21 Schützenfest!“
„Grzywotz... Grzywotz jest?“
„Pieronie, czemu się nie odzywasz?“
„Kucznik“... — „Jest!“ —
„Komraus“... — „Jest!“ —
„Co felezowane, raus... raus“.
„Piekorz — Konditor?“
„Folować²⁾ na filor do Pietrzyby,
Jak ci sie niezdo, to idź na grziby.“
„Ciskacze, jeszczeście nie są na „Mittelbinie“³⁾?
Pierony, macie szychta w kominie.“
„Guzy, a ty za śtrofa do szłomu⁴⁾,
A jak nie, tóż do domu.“
„Nie stójcie mi tu, wynocha!
Na co wy czekocie, Wendlocha?“

¹⁾ zapis.

²⁾ ładować.

³⁾ sztolnia środkowa.

⁴⁾ do błota.

„A wy, Jonku, do rabunku“ —
„Ty, Kutrzeba, vorwärts do drzewa,“
„Wy, Młynku, do budynku“ —
„A wy, Józku, aleście schudli,
Idźcie na filor, zawiyźcie wóz nudli¹⁾.“
„A ty Blott z liną flott.“
„A ty Kucia pod rucia.“
„A co „felezowane“... raus!... raus!...“

Wszystko się rozchodzi,
Starsi i młodzi.
Już to haspel rzegoce,
Pańsciorze rzną kloce.
Ciskacz pycha... a ciężko dycha.
Szleper siedzi na skrzyni,
A skrenta ślini.
Hajer na sztrece²⁾ —
Szlauch za sobą wlecze.
A od „Einfalle“³⁾ rzną sygnale.
Niedaleko od komórki
Folowane lecą z górki,
Cik cik, klek klek, cik cik, klek klek.
„Władek rychtuj podkładek!“
Kole szybu trzy latarnie,
Tam się wszystek „fedrung“ garnie,

¹⁾ drzewa (okrągłaki).

²⁾ ganek.

³⁾ szybu.

Sygnal bije... brzęk... brzęk! —
„Anschläger“¹⁾ się złąk,
Hubs na lewo... hubs na prawo —
„Co tam jedzie?“... zgnite drzewo!...

* * *

Jak Wicek Plutta opowiada.

„Swos niebieskie bergmany —
Ze mie bergmon przekonany.
Nie wiertom brzuchem tak, jak Polotzek,
Jeno podłóża sę pod zadek klocek.
Nie trza mieć krzywy cel,
Eno ryl... ryl... ryl... a styl... styl... styl.
Trzy dziury łoroz ruk, cuk,
Jedna na ścisk, drugo na huk,
A chauptdziura na cały świder,
„Denn ich kann wie der Pieron fördern.“
„Hauptdziura nabija w migu,
I odstrzela bez smrodu i pocichu.
Jeno grzmot i błyskawica
Obróci stemple w skórzica²⁾.
Automat się cały trzęsie,
Ale fedrunek idzie w kęsie.
A ku temu bergi³⁾ jak „bifeje“⁴⁾,
Ja, trzeba dosadzić do dziury tej cygoryje“⁵⁾).

¹⁾ sygnalista.

²⁾ cynamon.

³⁾ skały.

⁴⁾ bufety.

⁵⁾ dynamitu.

„Stemple, tamy, kapy wytrzaśnie,
I nawet elekstryka pod szybem zgaśnie.“
A pod szybem stoi Inspektor Herrlich i pado:
„Donnerwetter ist das gefährlich!“
— „Ja, Inspektor, und Genossen —
Wicek Plutta hat geschossen!“

Rozdział II.



Z pod „frópa“ (korka)

Niedźwiedzio przysługa.

W jednym z naszych fajnych domów w śródmieściu, na szczywortym sztoku, pod manzardami u Grychtolików łobchodzą „geburtstag“, czyli w łobcym języku padają też urodziny. Braknyło sztofu cyli piwa, toż też posyłam jednego z kamratów, kiery był najmocniejszy w nogach, do knajpy naprzeciwko po nowo bateryjo flaszek. Nasz Gustlik, bo tak sie zwoł, schodzi po schodach na dół i naroz patrzy, a sam w sieni na parterze leży se jakiś panocek. Był też naprany. Ale bardziej, niż nasz Gustlik.

— Panocku, a cóż to sam robiom?

— Jo? Jo sam mieszkam.

— Kaj?

— A na pierwszym sztoku.

— A kluc łod dźwierzy majom to?

— Ja, sam we weście w lewej kabzie.

Gustlik bierze panocka pod pachy i wlece go na pierwsze piętro. Wyjmuje mu z westy kluc, łotwiero dźwierze, wtyko mu nazod do westy kluc i sztuchnął go w łotwarte dźwierze. Złazi nadół, a na dole, na tym samym miejscu, kaj przedtem, leży jakiś wysmarowany, corny i wygnieciony panocek.

— Jejku, a cóżto sam robiom?

- Jo, jo sam mieszkam.
- Kaj?
- A na pierwszym sztoku.
- A kluc łod antreju majom to?
- A mom we weście.

Gustlikowi nożyska zacynajom sie trosycka huścić, ale rozum i sumienie pado, że trza przeca bliźniemu pomódz w przygodzie. To tyż bierze go pod pachy i wlecze z trudem na pierszy stok. Szuko we weście, klucyk znod, łotwiero dźwierze i wpycho w nie łóżartego.

Kiej zaś słoz nadół, patrzy, a tu na tym samym miejscu leży zaś jakiś cłowiek, ale wyglondo jak nieboskie stworzynie. Ancug łop-targany, gemba i rencyska podropane.

— Maryjo święto! — wrzescy Gustlik — cych jo łóżarty, cy tyż djobel straszy...

Chyto leżącego, aleć to żywy cłowiek.

- Hej, słuchajom jeny, co to sam robiom?
- Jo, jo sam mieszkam.
- Mieszkajom?... A kaj?
- Na... a... pierszym stoku.
- A kluc łod antreja majom to?

Naroz pijok podnosi łeb i patrzy na łogłupiałego Gustlika.

— Cof sie pieronie. Trzeci roz sie nie dom łod ciebie wtrząść do windy!...

* * *

Richard Kwatyrka wraca se z jakiegoś „Geburctaku“ w knajpie „mocno na mokro“, ku chałupie. Ano po cichutko, żeby go staro nie słyszała, włazi se do kuchni, no i kładzie sie na ławce, na kierej roz dwa zasypio. Chcąc sie w nocy obrócić na drugi bok... bęc... zleciół na ziemia pod ławka. Przebudził sie i nie wie, co sie stało i kaj właściwie jest. Próbuje ręcykiem: z boku ściana, za głową ściana, nad nim ściana, nogą świtnął... ściana. Pierzyna, zimny pot go oblewa... zorjentował się, że leży w trumnie. Umysł zaczyna powoli pracować, więc Richard z rezygnacją mruczy:

— Ano dyć tak jest, joch umarty. Ino pierzyna nie moga spokopić, po jakiemu mi się „na dwór“ chce...

* * *

Gustlik Kostoń pracował z ojcem razem na grubie. Pewnego razu pado ojciec (który wielki był filut) do syna:

— Wiesz co Gustlik, kiej już tak do kupy robimy, to se tyż bydziemy za jedno padać, ludzie bydą myśleli, coś my kolegowie i nie bydą nam tak tej roboty zawiścić i na nos pociskać.

Gustlik przyjął propozycję i po skończonej szychcie mówi do ojca tak:

— Te, wiesz co kolega, kiej już tak do kupy robimy, to se też pudziemy na jednego.

I poszli. Ale cóż... z jednego zrobił się drugi, trzeci, szósty, ósmy, no i fater z synkiem mocno naprani idą do domu. W domu Gustlik rozanielony, przegaduje do ojca ciągle:

— Wiesz, pierzyna, kamrat, jutro bydzie-my więcej fedrować, a kolega to, a kolega tamto...

Słyszac to matka, staje przed nimi i pado do ojca, pełna oburzenia:

— A cóż to ten przejęty śpik ci już za jedno pado? A maźnij-żys tego djoseckiego najducha bez ten pysk!

Na to pado Gustlik do ojca:

— Wiesz kolega, jak bych jo miał tako pyskato baba jak ty, to bych ją farona kandego już downo zakatrupił...

* * *

Jakiś pocziwy nasz bergmon, wraca se z Barbórki do chałupy. Noc już. Troszka niepewnie stoi na nogach i majstruje tam cosik kole zomka łod dźwierzy, ale nijak nie może łotworzyć. Jakiś przechodzień widzi, że nasz górnik miast kluczem, wierci w dziurce cy-garem. Podchodzi więc do niego i pado:

— Słuchajom jeny, przeca tym dźwierzy nie łożtorzą, przeca to cygaro, a nie klucz.

— Co pierona, cygaro? Widzom, co się to cłowiekowi przytrefić może, toch jo pierona kandy po dródze wykurzył klucz łoż dźwierzy i jakóż to jo terazki wleza...

* * *

Zeflik Lelek wraca mocno ulelany do chałupy.

— Nie gańba cie to, tak nieskoro w nocy przyłazić z karcmy do dom?

— Ale Hejdla, dziubecku, przeca dziepiero półdziesiątej.

— Ja półdziesiątej, sam mosz zygor, łobej-rzyj wiela jest, jest trzy.

— Toś ty tako, Hejdla? To ty pierona zygarowi barzej wierzysz jak mie, twojemu chopowi?

* * *

— No cóż, Karlik, jakóżeś sie tam po naszym wcorajszym bumlu dostał do chałupy? szczęśliwie?

— Djobłać tam! Moja staro ani sie słówkiem łoż wcoraj do mnie nie łożdywo!

— E, toś ty, bracie, szczęśliwy, bo moja to ci jeszcze fórt godo i godo.

* * *

— Jak się tyż to nie wstydzicie, Sływała, tak sie łożyrać — pado ksiądz farosz do swego parafjanina; — tylech wom razy prawil, że gorzoła to nojwiększy wasz nieprzyjaciel...

— To prowda, ale księżoszku, łoni nom przeca tyż prawili na kozaniu, że nieprzyjaciela noleży miłować...

— Miłować tak, ale przeca nie łykać!

* * *

— Hanys, widzisz, jakiś ty, zaś-eś sie łożar, a wcoraz przysięgołeś mi, że już nie bydziesz zaglądoł do kieliszka.

— Joch też, Hejdla, nie zaglondoł, zawsze-ech przedtem zawieroł uocy.

* * *

Noc. Zeflik z Gustlikiem naprani, kolebia sie do chałupy.

— Proszę pana, cy idziesz pon w ta samo strona, co i jo?

— Pieronie głupi, padej mi obywatelu, a nie pon!

— A to czamu?

— No, bo po pierwsze-ech nie jest „gorol“, a po drugie toch jest „łobywatel“, a to skiż tego, że sie musza łąbywać bez wiela rzeczy.

* * *

Jakiś wandrus dobijo sie do chałupy jakiegoś gospodorza i błagalnym głosem pado do gospodyni, kiero mu łotwarła:

— Przebocom, panucho, ale takie mom pragnienie łokropne.

— O boroczku, — pado gospodyni — dockejcie chwilecka, zarozicki wom dom wody.

— Cego wody? Jo im przeca padom, że mom pragnienie, a nie, że sie chca umyć — skrzeczy zły jak sto djobłów wandrus.

* * *

— Ależ człowieku, bój-żeś sie Boga! Czamu to tak pijesz?

— A bo chca w gorzołce utopić moje frasunki.

— Topisz je codzień bez cołki tydzień.

— Ja, bracie, nie mosz pojęcio, wiela tym bestyjom potrza, aby sie potopiły.

* * *

— Wiecie, Musiołko, mój stary jak sie ino trocha zadużo napije, to potym na drugi dzień jest cały jak rozbito.

— E, to im dobrze, Frau Pytel. U nos to je blank na łopak. Jak mój stary zadużo wypije, toch jo wdycki potem na drugi dzień jezech blank łozbito!!

* * *

Policjant: — Cóż to, nie poradzicie trafić do dziurki łód klucza? Dejcie no sam ten klucz, jo wom pomoga...

Pijany: — Dziękują, nie trzeba. Jenom bydom tacy dobrzy, a przitrzymają ździebko ten dom, to se som do dziurki trefia!

* * *

Kiejś w sobotę po wypłacie, jeden z naszych karlusów mocno (jak się to mówi) naprany, podchodzi do jednej z aptek i wali w drzwi jak w bęben.

Po pewnym czasie zjawia się stróż nocny.

— A cóż to tak pierom do tych dźwierzy i ludziom spać nie dają? Takie robić w nocy larmo! Nie gańba ich to, co?

— Przebocom, ale mnie tak pierońsko zembska bolą, że nie moga już wytrzymać i chca se kupić jakie lekarstwo...

— Ja, lekarstwo... mnie jak bolą zembska, to tam nie szukom pomocy żodnego lekarstwa, ino ida du dom do baby i już... Jak łona mnie przygarnie ku sobie, to i ból i zęby djobli bierom!

— Ja, pierona, padajom!... tóż pedzą mi terazki, kaj mieszko ta jeich baba, zarozki tam puda do niej.

* * *

- Co to, Manuś, łeb cie boli?
— No toć boli, już nie wia, co mom robić.
— Co? Jo ci powia, przyłóż se „umszlag“ z „przybytku“!
— Ja, a cy łod tego przestanie?
— No toć. Przeca padajom, że łod przybytku głowa nie boli.

* * *

Feliks Tyrpoc po gieltaku wstąpił se na jednego, trefił jak zwykle kamrata, no i z jednego zrobiół sie drugi, piąty i dziesiąty — i tak dobrze naprany wraca do domu. Na dworze éma, jakby chto tinta wyół.

Tyrpoc jednak gramoli sie; naroz wloz na „littfassäula“, czyli na słup ogłoszeniowy. Trzymo sie więc obiema rękami i chodząc nokoło, maca i maca i końca się domacać nie może. Kiedy tak paręnaście razy obszedł dookoła, pot zlewa jego czoło i zaczyna przerażliwie wrzeszczeć:

- Pierona, „retong“, bo mnie zamuirowali!

* * *

Przed jakąś destylą napranego Hanysa Tyrpałę spotyko jego kobieta.

- A ty stary łozyroku, nie wstydzisz sie, co, tak wyłazić na droga? Nie gańba cie?

— Hejdla, mosz recht, wstydza sie i nie moga tak iść do domu!.... — i mówiąc to, włązi zaś nazod do szynku.

* * *

Zeflik Chyrtoń wloz se do knajpy i wypił se coś łożiem „cystych“ z „himberzoftem“. Skończywszy ta robota, pado do kaczmorki:

— Bydźcie tacy dobrzy, frelko, i zapiszcie se tam ta porcyjo, bo jo nie mom pieniędzy.

Kaczmorka wściekła wyjeżdżo na Chyrtonia z pyskiem:

— Wy, chacharze djosecki, wy łożyroku lagremencki, po co ślepiecie tyła, jak nie macie pieniędzy?

— A cóż se to myślom, frelko, dyć jak bych miał pieniądze, to myślą, żebych ich tak lekko-myślnie przepijoł? Nie ma tak dobrze!

* * *

Hanys Ciskocz, wracając z pracy do domu, ogromne miał pragnienie. Chcąc se trocha kurz węglowy splókać, wstąpił se do knajpy, a stanawszy przy szynkfasie, powiado:

— Frelko, naleją mi tam jednego, ale wartko, bo będzie wielki krach.

Wypiwszy, powiado:

— Frelko jeszcze po gibku jednego, bo łożocom, jaki za chwilka będzie krach.

Frelka prędiutko nalewo, ale Hanys wychyliwszy kubek, żado po roz trzeci jeszcze jednego, bo stopieroński bydzie krach!

Frelka zaciekawiona do ostateczności pyto:

— A cóż to za krach mo być?

— No dyć im nie zapłaca za to, coch wypił, bo wiedzom, nie mom pieniędzy.

* * *

Jacek Tyrpała wraca jak zwykle z knajpy do domu; jest godzina pierwsza po północy. Staro jego budzi się i pyto, chtóro godzina? Jacek bez zająknienia pado:

— Dziesięć.

W teźe jednak chwili pisko „wachtyrz“ jedna.

— Cyganisz! — wrzeszczy żona. — Czy nie słyszysz wachtyrza, pisko jedna!

Na to Jacek:

— No cóż ty, głupio, przeca nuli¹⁾ nie poradzi piskać!

* * *

Niejakiś Kaczmarek w dniu wypłaty spotkał kamratów, z kieremi wloz na jednego, no i doł se porządnie (jak to padają) pod mycka. Tapie

¹⁾ zera.

se ku domowi, ale ćma jak farona, nie może jakoś trefić. Naroz włazi na posterunkowego policji, który pełni służbę, i zna naszego kompana. Posterunkowy więc pyta: czego to tak szuka? Na to pijany:

— Prze... e... e... bocom, czy nie wiedziom, kaj sam mieszko Kaczmarek?

— Czego? Kaczmarek?... No przeca łoni sie nazywają Kaczmarek!

— No dyć jo wiem, że sie tak nazywom, ino pierona nie wiem, kaj mieszkom!

* * *

Stanik Lelek po jakimś tam bardzo wesołym kolendowaniu u znajomych, mocno niepewny na nogach, kolebie się nieskoro w nocy ku chałupie. Nareszcie ujrzał tabulę, na której napisane stoi: Przystanek. Był to oczywiście przystanek „strassenbanki”¹⁾.

Lelek stoi i stoi, to się zaś kolebie sam i tam, zimno jak farona, aż ujrzał policjanta.

— Panie starszy... co jest pierona?... — pyta się nasz Lelek.

— Co mo być? A cóż se to tu tak stoicie — pyta policyjon, uśmiechając się pod nosem.

¹⁾ tramwaju.

— Cekom, wiedzom, na ta pierzyńsko banka, a tyn gizzd nie jedzie i nie jedzie — pado Lelek.

— Ja, na banka czekocie?... No to możecie długo czekać. W nocy banka nie jeździ, idźcie do dom, idźcie — pado policjant i odchodzi uśmiechnięty.

Ale po godzinie wraca policjant i widzi, że nasz Lelek fórt jeszcze stoi na tem samem miejscu.

— Człowieku, a cóż to sam jeszcze stoicie?

— No, dyć ech im padoł, pierona, że cekom na banka.

— Alech jo im przeca tyż padoł, że banka w nocy nie jeździ.

— Nie róbcieź mie za błozna, pierzynie, że banka nie jeździ; jak nie jeździ, to po co sam leżą te „glajzy“¹⁾, pierona... co?

* * *

W jednej z naszych restauracji (zdaje się u Nowakowskiego), kaj to dowajom dużo a tonio, siedzi se jakieś starsze towarzystwo przy piwie i łozprowiajom ło dawnych, dobrych czasach, kiere porównujom do dzisiejszej drożyzny.

¹⁾ szyny.

— Downiej, wiecie — pado jeden — było życie i prowdziwy raj na ziemi. Wszystko było dobre, tonie i niefałszowane.

— Jeszcze jakie tonie — pado drugi. — Jo pamiętom, jakiech był jeszcze małym synkiem, tochmy wszyscy, fater, muter, brat i śtyry siostry robili w niedziela wycieczka za miasto do Murcek. Ociec mieli w kabzie 50 feników, brali nos do restauracyje, tam jedlichmy wszyscy „eisbein“ z kapustom, wypili każdy po trzy „zajdle“ piwa, a kiechmy przyšli nazod do dom, to fater mieli jeszcze w kabzie 50 feników. A wiecie czamu? Bochmy wyleźli z restauracyje po zadku i blank zapomnieli za jodło i picie zapłacić.

* * *

— Ty, Richard, kiere piwo jest lepsze: biołe cy czorne?

— Dej mi, pierzynie, pokój z czornem piwem!... W Sylwestra-ech wypiół dwanoście „zajdli“ biołego i było mi dobrze, a potym mie djobli skusili i wypilech łoziem „zajdli“ czornego, to ci mi bez dwa dni było tak nie-dobrze, żech se rady nie wiedziol.

* * *

Zeflik Kapudrok wrocoł ze szychty, trefiół kamrata i poszli se łoba na „jednego“. Tyn „jedin“ jednak przeciągnął się nieskoro do późnej nocy.

Zeflik miał baba jak farona, wiedziół więc, co go czeko, jak przydzie do chałupy naprany. Seblyk sie w sieni buty i cichutko włazi do izby, podchodzi na palcach do kolebki i kolebie, kolebie, swego najmłodszego. W tem budzi się jego połowica i ździwiono pyto:

— A ty, łożyroku djosecki, cóż to tam tak trzaskosz tą kolebką?

— A dyć Pietrek zaś takie mo złe spanie i już go tak bez dwie godziny huśtom i huśtom i nijak nie może usnąć. a nie chciołech cie budzić, dziubku...

— Zawrzij-żys ten pysk, ty djobli cyganie, dyć jo sam Pietrka mom w łóżku kole siebie!

* * *

Stary i młody Chyrtoń robią do kupy na grubie. Wracając z szychty, wstąpili se do karczmy na jednego, żeby se kurz z piersisków spłókać. Niedługo trwało, a pora pijanych bukslików rozpoczęło bijatykę, w którą wciąż tyż i starego Chyrtonia i jeden z buksów maznął „fatra“ w łeb. Młody Chyrtoń widząc to, pado:

— Fater, pierona, niech wos tyn gizzd jesse roz piźnie, to jo mu pokoża!

Buks wałnął zaś starego w kark.

— Fater, nie bóicie się, niech jessce roz spróbuje, to łobocy!

Fater dostał jessce jedna piguła. Na to pado młody:

— Pierzyna, Fater, wiecie co, pójdźmy lepiej do dom, boby my jessce łoba dwa dostali.

* * *

Gustlik Tyrpoł i Francik Łykała, stare ślepoki, chcieli sie łod gorzoły odzwyczaić i ślubowali, że już na kieliszek ani spojrzą. Ale, że to w doma skiż choróbska, kierego nigdy przewidzieć nie można, zawsze trocha gorzoły sie przydo, postanowili kupić flaszka koniaku, co też i zrobili. Gustlik bohatersko wytrzymał bez trzy dni, ale na dalszy post brakło mu już sił. Zachodzi więc do Francika i pado:

— Wiesz, Francik, tak mi jakoś dzisiok nie-dobrze i taki sie czuja chory, że musza sie napić troszycka koniaku.

Na to Francik:

— Ja, mój braciszku, przychodzisz za nie-skoro, joch tyż wcoraj bez calusieńki dzień bardzo był chory.

* * *

Po „wiliji“ jeden z naszych poczciwych policjantów na placu Wolności znad obywatela, który se widać w ten dzień mocno załół chroboka. Borok leżół na drodze pod latarniom. Policjant podnosi go z trudem i pyto:

— Cóż to łoni sam śpią, cy co?

— Ni, jo sam nie e... e... śpia.

— No wstanom, jo ich zawieda du dom.

— Dobrze — pado ulelany — pódźmy!

— A kajż to mieszkajom? — pyto policjant.

— A dyć w Rybniku!

* *

O n a: — To bardzo pięknie, Zeflik, przyłazić do dom z knajpy łó trzeciej w nocy!

O n: — Ja! A to bardzo pięknie łód ciebie nie spać do trzeciej w nocy... co?

O n a: — Dyć jo cekom na cia łód sześciu godzin i nie spałach wcale!

O n: — No widzisz, dziubku, jo zaś siedza skiż tego łód sześciu godzin w knajpie, bo cekom, cobyś usnyła!

* *

— Człowieku, toście znowu pijany jak nieboskie stworzenie? Kiedy wy się poprawicie i zaczniecie nowe życie?

— Ja, wiedzom księżoszku, to już u mnie za nieskoro!

— Głupstwo, do poprawy nigdy nie jest za nieskoro!

— Nie? No toż wiezom, księżoszk, jesce trocha byda czekoł!

* * *

— Pódź, Hanys, wleziemy se na jednego.

— O dziękuje ci, jo nie pija...

— Cego to, nie pijesz? a to łodkad? Przeca-eś se wdycki rod jednego chornół!

— No ja, widzisz, to prawie, alech sie już poprawił.

— Pojakiemu?

— Ano, bracie, łod casu, jakiech sie roz požądnie łolełoł i widziołech moja baba tuplowanie; łod tego casu mom już dość!...

* * *

P i j o k: — Że stoja przed dźwierzami mojego mieszkanio, to pierona sicher, jeno nie wiem pierona, cych „drin“¹⁾, cych tyż jest „draussen“²⁾!...

* * *

— Cóżeś ty taki jakiś kwaśny, Richard? — pado do szynkiyrza jego kamrat Buła.

— A boch ci, pierzina, wczorej miał taki dziwny wypadek. Wytrzas-ech ci z mojej

¹⁾ wewnątrz.

²⁾ zewnątrz.

knajpy łożartego, bo pieron robił larmo, a jak-
ech mu sie potem dobrze przyjrzoł, łokozało
sie, żech to pierona jo był...

* * *

Jakiś pijany na drodze kolebie się mocno
z jednej strony na drugo. Naroz sztuchnył ja-
kiegoś przechodnia.

— Cóż to, pierzyński łożyroku, ślepyś cy
co?... nie widzisz ludzi?

— Toć widza, pie...pie...ronie, nawet tu-
płowanie. Za...za...miast łonych jednego, toch
widzioł dwuch!

— To to cóż? Toście mnie nie potrzebo-
wali tyrpać!

— No toć toć... alech chcioł przeca pie-
rona, przeńść między wami.

* * *

— Co na to poradzić, mój sąsiedzie? Chłop
mój sie kaździutki dzień łożyro, gospodarstwo
zaniedbuje, w doma nie siedzi, jeno porząd
w szynku.

— Ło, moiściewy, dyc na to jest rada...

— A jako? Godejcież, sąsiedzie!

— No, tóż załóźcie szynk, to bydzie wtedy
wdycki siedzioł w doma.

* * *

— Ty świński łożyroku, terazki przychodzisz do domu, o czwortej rano? Jo cołko noc łoża nie mogła zmrużyć!

— A cóż se to myślisz, dziubku, że jo łożo zmrużył?...
* * *

— Widzisz, toś mie zaś wcoraj łożygańił, ty łożyroku djosecki! Pedziołeś, że idziesz do kamrata, a polożesz do szynku...

— Pojakiemu, Hejdla? Przecach cie nie łożygańił, bo mój kamrat, widzisz, siedzioł w szynku.
* * *

Mały Pietrek poszoł do kupy z tatulkim na spacyr. Na łożrodzeniu jakiesik fajnej wili zauważył mocno cerwienionce sie liście dzikiego grona.

— Fater, dziwejcie sie, jakie to sam piekne kwiotki rosnom.

— To przeca nie som kwiotki, mamlasie, to jest dzikie wino.

Pietrek, ździwiony, po chwili:

— Fater, cy rośnie tyż kaj dziko gorzoła?...
* * *

— Richard, lo Boga świętego, co ty robis, aże robis? Miał siedzieć w domu, smykos się od rana do wieczora po knajpach.

— Musza.

— Czemu to musisz?

— Widzisz, byłech kiejsik u wróżki. Padła mi, że mam się wystrzygać baby i wody. W domu zaś mam babę i mam „wasserleitung“¹⁾), tóż musza iść do knajpy.



¹⁾ wodociąg.

Rozdział III.



*Z małżeńskich miodów,
to dziółchach,
niewiastach
i „Schwiegermutrach“*

Petronjusz: Matrona z Efezu.

W Efezie mieszkała se kobiecinka tako skromno i statecno, że się wszyscy ludzie dziwowali, a ze somsiednich łokolic niewiasty starały się jom naśladować. Kobiecie tej umar chłop. Żoł po nim objawiała nie ino w pieknym pogrzebie, kiery mu wyprawiła, w tym, że szła za trulą z rozpuszczonymi kudłami, prała sie po gołych piersiach (jak to wtedy było we zwyczaj) i inkszych łobiawach żolu i markotności. Nie — to jej nie starcyło! Ale poszła do grobowca, kaj stary był pochowany, siadła se przy trumnie i zacyna płakać i łzy ronić, bez dzień i bez noc.

Ani jej łojcom, ani krewnym, ani wszystkim ciotkom, kierych miała moc, nie udało się łodciągnąć borocka łod trulę chopa i zdało sie wszystkim, że sie chce zamorzyć głodem. Na koniec przyszła tyż i policyjo i burmistrz i namowiali gdowa, coby dała starymu pokój i szła do dom, ale nic nie pomogło. Dali więc wszyscy pokój i poszli do swoich chałup, zostawiając gdowa w grobie lamentując.

Od pięciu dni siedziała już tak ta boroczka i ani kaseczek jodła ani napoju nie wziena do gemby. (Ale prowda — bo bych był zabo-czół.) Przy pani swojej łostała tyż jej wierno

służebnica, kiero już u niej coś pietności lot służyła (dzisioj takiej i ze świecką nie znojdziesz), i pomogła pani swojej płakać, dolewając ciengiem do lampki nowej łościwy, jak sie staro wypolała.

Żal gdowy budził podziw w całym mieście i ludzie ło nicym nie godali, ino ło tym wypadku. Chłopy żeniate radowały się, że przeca znodła sie tako kobieta-ideał, kiero powinna być wzorem dlo inkszych, wzorem cnoty i miłości małżeńskieij.

Kiejś, po paru dniach, Wojewoda Efezki doł rozkaz, aby niedaleko grobowca, kaj ta gdowa łopłakiwała swojego nieboszczyka, ukrzyżować pora chyconych robsików.

Przy krzyżach postawili na wasze¹⁾ młodego wojoka, kiery musioł dować pozór, aby trupy robsików nie łostały ukradzione i pochowane. Trupy te bowiem miały tam wisieć bez trzy dni, na postrach ło całej okolicy.

Kiejś tyn wojok chodząc se, jak to zwyczajnie na wasze, tam i nazod, ujrzoł w grobowcu światło, a kiej podszed bliżyj, usłyszoł płacz i lamentowanie. Zdjena go, (jak to zwyczajnie ludzi), ciekawość i, nie namysławając sie

¹⁾ na posterunku.

długo, wzion na łodwoga i śłoz na dół do grobowca. Dziwo sie, a tu widzi kobieta piękno i młodo, jak malowanie! Stanął jak wryty, bo w pierwszej chwili myślał, że to jaki duch, ale kiej łobocyl truła z nieboszczykiem i zacon sie przyglondać łzom i podropanej gębie kobiety, zarozki zmiarkował, że to wierza gdo-wa, kiero nie może zapomnieć umarłego.

Tóż wrócił się na wierch, wzion swoja wieczerso i zaś przyszoł do grobowca i zacon upominać płacząco, aby przeca przestała lamentować, bo sie to na nic nie zdo. Wszystkich nos ten som koniec czeko i bydziemy wszyscy musieli iść tom samom drogom. — Biedny wojok prawil, co ino móg i pocieszol słowami, jakby jaki „kapelonek“ na pogrzebie, kiej pocieszo strapionych. Ale nic nie skuroł, bo kobieta rozżalono jeszcze więcej tym pocieszaniem, zacyna ryceć, pazurami sie po gębie dropać, włosy z łeba wrywać, kiere potym ciepała na truła zmarłego swego chłopca.

Ale wojok, karlus piękny i wytrzymały, nie popuścił. Zacon płaczącom prosić i namawiać, żeby przeca choć małowiel zjadła. — Służąco od tej pani pierwszo zmiękla, wziena ją (jak to padają) piękno prośba młodego wojoka, ale tyż i wino, kiere przyniós w manierce,

woniało festelnie, tak, iż nie wytrzymała i zabrała się do jedła i picio.

Kiej się już posiliła, zacyna i łona pomagać wojokowi namawiać swoją pani, aby też co zjadła. Padała:

— Panuchno, a dyć się niech opamiętają. A cóż to bydą mieć z tego, jak się na śmierć zamorzą? A dyć żodnej zasługi skiż tego mieć nie bydą ani sam, ani tam — choćby umarli, a bydą mieć grzych, że nie umarli wtedy, kiej mają tam na wierchu przeznaczone. No nie?... A cy se to myślą, że płkanie obchodzi tam co umarłych? Psinco! Upamiętają się, panuchno, idą zaś do świata, zapomnią ło umarłym, a używajom życie, po wiela się do, po wiela som młodzi i piekni!

(Nie gorszą się tam nigdy ludzie, kiej ich się namowio do dobrego jedzynio abo życie! — Czamuż by nie!)

Tak też i było z naszą gdową. Napościła się boročka przez tyła dni, wychudła, to też nie długo trwało, a dała się namówić i zarozki zabrała się do jedzenia i picio, w czym prześcignęła nawet swoją służebnica.

(Nie byda wom tam godoł, jakie to tam człowiek najedzony mo zochcianki, bo sami ło tym wiecie.)

To tyż nasz wojok, kiery staroł się gdowie przywrócić chęć do życio, zacon terozki pomalutku śturmować do jej serca. Polekutku, a wojocek zacon sie naszej gdowie podobać. Podobała jej sie i jego młodość, szwarność, jego stateczność i wymowa. Służebnica zaś podtrzymywała u swojej pani to przekonanie, godając piękny wierszyk (bo wtedy i służące ucyły sie i poradziły wiersze na pamięć):

„Serce nie sługa, nie zno co to pany!...”

Dość pedzieć, że nasza gdówka przestała płakać, przestała myśleć ło nieboszczyku, a za to coraz to łogniściej spoglądała na wojoka i coraz sie bardziej do niego przyciskała.

Drzwi do grobowca zostały na fest zawarte, tak, że ludzie, kierzy tam niekiedy jeszcze zaśli, myśleli, że biedno gdowa z żolu umarła przy swoim chłopecku.

Wojokowi sie tyż gdówka strasznie udała, to tyż siedzioł ciengiem w grobowcu, pocieszając borocka, wiela się ino dało.

Cóż, kiej i na niego boroka czyhało nie-szczęście. Krewni jednego z robsików, widząc, że przy trupach nikt nie wachuje, przyszli kiejś w nocy, trupa z krzyża zjeni i pochowali.

Nasz wojok widząc rano, co się stało, wpod w rozpacz, wiedząc, że spotko go za to kora. Łopedzioł to gdowie i pado:

— Cegóż byda czekoł na wyrok sendziego? Wola sie som swojem włosnym mieczem przebodnać i łodpokutować swoja lekkomyślność. Dej mi to, dziubku, zrobić sam w tym grobowcu, aby jeden i ten som grób pochowoł do kupy i twojego chłopa i twojego przyjociela!

Nasza gdowa, kiero była nie tylko wstydlivo, ale tyż miała bardzo miękkie serce, łopedziała:

— Niechże bogowie bronią, abych terozki miała stracić i oplakiwać dwóch mojemu sercu drogich ludzi. Eh! wiesz co — padała — wola już ofiarować nieboszczyka aby uratować żyjącego.

Potem dokupy wywlekli umartego z truły i grobowca i powiesili go na próżnym krzyżu. Wojok radowoł sie z tego bardzo i był za-kontent, że mu sie tak sztuka udała.

Nazajutrz zaś, dziwowali sie ludzie poja-kiemu trup zacnego męża smutnej wdowy znod sie na krzyżu.

* * *

Jedna z naszych gosposiek musiała wyjechać do Opola w sprawach familijnych. Wy-

bierając się do drogi, zdaje mężulkowi gospodarstwo, dyktując mu, co i jak ma robić. Pado więc:

— Hanys, tóż dowej ino pozór: Rano podlej zarozki kwiotki w donickach. Potym namoż zygor łoliwom, kanarkowi nasyp świeżego „vogelfutru“. Potem tepichy wyklupej z kurzu. Amina naszego wykąp w rzyce, bo mo błechy. Karlickowi dej ciepłego mleka, a starce przecytoj coś na wieczór z „Żywotów świętych“. No tóż łostoń z Bogiem, Hanys, a sprawioj sie dobrze.

Ano nasz Hanys widać tęgi „wrziciwrzoł“, porychtował wszystko jak mógł nojlepiej. Kwiotki zarozicki rano podłoł ciepłym mlykiem. Do zygara nasypoł świeżego „vogelfutru“, kanarka namazoł łoliwą, tepichy wykapoł w rzyce. Karlicka wytrzepoł z kurzu. Starka poloł w łóžku zimnom wodom. Zaś Aminowi przecytoł wieczór coś pięknego z „Żywotów“.

Staro powróciwszy z rajzy do chałupy, raduwała sie ponoć, ino padała do somsiadki, że przy takim ślimoku, to sie ani na chwila z chałupy wyruszyć nie może.

*

*

*

— Pedzom mi jeny, panie Kokot, pojakie-
mu to jest, że gdowy sie wdycki zaś tak
wartko wydowajom?

Kokot: — Ano, wierza, skiż tego, że umar-
ci już nic nie poradzom pedzieć.

* * *

Pewien siodłok powadził sie ze swoją babą
w piątek, kiero sie tak łozgniwała, iż bez
calutko sobota ani słówkiem sie do męża nie
łodezwała. Mąż byłby tam już chętnie skoń-
czył z temi kwasami, ale mając prawie, (chło-
pi wdycki majom prawie), nie chcioł sie uznać
za winnego. Nazajutrz w niedziela, przypodoł
w kościele parafjalnym odpust, na kiery wie-
dziol, że sie żona downo raduwała. Pado se
więc: doczekiej, już jo cie zażyja, z mańkuta.
Rano ło ósmej pado do pacholka:

— Maciek, uszykuj mi jeny siwka do ko-
ścioła!

Żona zmiarkowała, że kiej przy swoim
uporze trwać bydzie, do kościoła nie pojedzie.
Chciałaby chłopą jakoś udobruchać, ale nie
wie jak. Po chwili łodzywo sie do niego:

— Michał!

— Cego?

— Tyś w piątek kichol?

— No to co?

— Tóż dej ci Boże zdrowie!

— Bóg zapłać!... Maciek, zaprzęgnij tam pora koni do brycki, gospodyni też pojedą ze mną do kościoła.

* * *

Hanys Kneflik i Richard Dziurka spotykają się na ulicy. Pierwszy z nich jest już od downa żyniaty, drugi zaś jeszcze samotny. Kneflik pado do Dziurki:

— Wiesz co, kamrat, moga ci iny to jedno pedzieć, łożyń sie, to ci jednak jest fajństwo rzec!

Na to pado Dziurka:

— Ja wiesz, dyć jo mom chęć do żyniaczki, jeno to ciężko bydzie zność tako kobieta, jakom szukom. Widzisz, jo chca kobieta cnotliwo, po drugie szporobliwo, a po trzecie milcząco i skryto.

Na to pado Kneflik:

— Pierzynie Richard, tobyś był musioł moja baba dostać. Padom ci, kaj sie rano siednie, to jom na tem samem miejscu wieczór zastaniesz! A szporobliwo, nim ci fenik wydo, to go dziesięć razy łoćróci! A milcząco i skryto tyż jest, jak farona. Łod dziesięciu lot mo synka i myślisz, że mi dotąd pedziała łod kogo?

* * *

— A cóż sie to stało, Nowocko, że jeich dzisiok już tak wczas rano bańtował?

— Ano wiedzom skiż kurów, musioł je budzić, bo nom wcoraj zdechl kokot.

* * *

Do mieszkano Pytlika zwoni sąsiadka. Otwiero dźwierze Pytlik.

— Przeboczom, czy jeich kobieta som w doma?

— Nie, — pado Pytlik, — przed trzema godzinami wyszła na pięć minut do kamratki.

* * *

W ogrodzie zoologicznym strażnik objaśnia ciekawych.

— To sam jest „Tyger“ bengalski. Jest to okropnie żarłocno gadzina. Łon bez jedna godzina zeżre całego srogiego osła!

Jakoś kobieta ciągnie swojego chłopa, kiery stoi blisko klotki.

— Cof sie, Richardku, cof, nie stój tak blank blisko tej klotki.

* * *

W pewnem miasteczku przychodzi na policję starsza już panna i uskarża się u komisarza, że naprzeciwko jej okien stoi se taki ustęp dla panów, z góry otwarty, tak, że

z okien zawsze, chcąc nie chcąc, może wszystko widzieć, co się tam wewnątrz dzieje i, że jako porządno kobieta, którą taki widok obraża, prosi, ażeby policja coś przeciwko takiemu zgorszeniu stanowczo zaradziła.

Komisarz wydelegował dwóch posterunkowych do mieszkania owej panny, którzy mieli rozkaz stan rzeczy zbadać na miejscu. Kiedy przybyli na miejsce, przekonali się naczynie, że coprawda domek ten jest z okien widoczny, ale tylko z zewnątrz, zaś wnętrza wzrok absolutnie nie sięga. Jeden więc z policjantów zwraca się do owej panny z wymówką, że przecież tam nic nie widać.

— Ja, nie widać?... Tóż wezną ino i przystawią do łokna stół, na stół niech postawią stołek, potym niech wleżą na to i łobocą, cy widać co, cy nie widać!...

* * *

K s i ą d z do pana młodego: — Marcinie, masz dobrą i nieprzemuszoną wolę... itd.

M ł o d a p a n i (wdowa) przerywa: — Księżoszku, łon tu nic nie mo do godanio, bo łon nic nie mo. Już pół roku jest u mnie za darmo w kuście, u mnie mieszko, w łachach po nieboszczyku pierszym chopie łazi i jo robia

wesele. Tóz niech sie przodzi mnie spytajóm,
a łon niech bydzie rod, że go biera.

* * *

— Jaka różnica jest między sakramentem
pokuty, a sakramentem małżeństwa?

— Przy pierwszym przychodzi żal przed-
tem, a przy drugim potem!

* * *

— Lo Boga, Nowocko, o chtëż to tak u nich
klnie straszliwie?

— Adyc to, wiedzom, mój stary, bo chce
iść do kościoła, a nie może nikaj znożyć „gebet-
bucha“¹⁾...

* * *

W Bytomiu na targu podszedł pewien chłop
z Kozigóry ze swoją żoną do budki, w której
sprzedawano wodę sodową i zamawia dwa
„zeltry“. Sprzedawaczka pyta się:

— „Mit“ abo „ohne“? (Czy ze sokiem,
czy bez?)

Na to odpowiada chłop:

— Tak, tak, mnie i łonej!... — wskazując
przytem na swoją żonę.

* * *

— Rychar, słuchej jeny! Za tydzień ob-
chodzimy strzybne wesele. Może bychmy tak
na ten dzień zabili świnia?

¹⁾ książki modlitewnej.

— A czamu to? Cóż biedno świnią temu winna, żech jo 25 lot temu takie zrobiół głupstwo?...

* * *

— Te, Zeflik, słyszołeś to! Richardowi uciekła baba!

— Co ty padosz, a cóż łon na to?

— Ło, terozki sie już ździebko uspokoił. Ale przodzi tochmy myśleli, że ten człowiek po prostu łogupieje z radości...

* * *

— Wszystkiego bych sie była po tobie spodziewała, ale nigdy, żeś taki mamlas...

— Dzisz! A dyć-eś to zarozki mogła zmiarkować, jakiech sie z tobom żenił...

* * *

— Wiesz Mari, ani se nie możesz pomyśleć, jakie to przejęte djobły som wszystkie chłopcy. Padom ci, żeby mój pierszy nie był umarł, nigdy bych sie po roz drugi nie była wydała.

* * *

Żona: — Takoch zło, że z wściekłości mogłabych zgrzytać zębami!...

Mąż (woła do służącej): — Mari, przynieś pani zęby, są na „waschtischu“¹⁾....

* * *

¹⁾ umywalce.

— Słyszoleś to już, co za nieszczęście spotkało „ślepra“?

— Nie! A cóż mu sie stało?

— A dyć borok z mojóm babóm uciekł...

* * *

— Czy twoja Zefla poradzi warzyć?

— O jeszcze jak, warzyć to łona fajnie poradzi, jeno jo tego, wiesz, nie poradza jeść!

* * *

— Musza ci sie, Zeflik, łotwarcie przyznać, żech była łokropnie głupio, kiech sie za cie wydała.

— Co ty nie padosz! A teroz-eś już nie jest głupio?

— No toć że już nie!

— Widzisz, mój dziubeczku, jakieś mi powinna być wdzięczno zato, żech cie tak przełonaczył!

* * *

— Wiesz co, Hanys? Mosz, pieruchu, tako gryfno kobieta, że jak patrza na nia, to se zawsze po cichu musza pedzieć: „I nie wódź nas na pokuszenie“.

— No, bracie, kiejbyś ją ino poznoł bliżej, tobyś potem rzykoł głośno, jak jo: „Ale nas zbaw ode złego“....

* * *

Pewien „bergmon“ przypatrywał się w cyrku, jak pogromca poskramiał dzikie zwierzęta. Po przedstawieniu udał się do właściciela cyrku i powiada:

— Przeboczom, panoczku, wiela by tyż to kosztowało, jakby mi tak wytresowali moja baba?...

* * *

Konstant jest samotny, czyli jak padajom, starym kawalerem. Ale mo przyjaciółka wdowa, do kierej łod poru lot chodzi se każdego wieczora... na klyty.

— Powiedz mi, Konstant — pyto go sie roz jego kamrat, — czamu sie to z tom kobietom nie łożenisz?

— Toć-ech to już chcioł zrobić, — pado Konstant, — alech se pomyśłoł: kaj jo potym byda co wiecór chodził, jak się łożenia?

* * *

C ó r k a: — Mamulko, dzisiok-ech sie powadziła z mojem narzeczonym. Terozki zaś nie wiem, chto komu mo ustąpić?

M a t k a: — Przed ślubem ustap ty, po ślubie łon musi ustąpić!

* * *

Pewna młoda mamusia, która w nocy już kilka razy wstawać musiała do krzyczącego maleństwa... zła do męża:

— Mógłbyś się też ruszyć i pochuścić małego, przeca to tak samo twoje dziecko, jak i moje.

Na to mężulek (rozespany):

— Pochuśtej ty swoja połowa, moja ta niech wrzeszczy!



Poczym ich poznacie?

Opowiem Wam, mili moi Czytelnicy, taką ot sobie historyjkę z prawdziwego zdarzenia.

Otóż do jednego zajazdu (powiedzmy inaczej hoteliku), w małym prowincjonalnym miasteczku, zajechała na noc młoda, szykowna para. Zażądali wspólnego pokoiku o dwóch łózkach.

Gospodyni podeszła do swojego starego, a więc gospodarza, i coś mu tajemniczo z przejęciem szeptała na ucho.

Stary wyjon fajfka z gemby i pado:

— To nie idzie. A wierzaś sie pomyliła, może to małżyństwo?

— Ale małżyństwo! Przecach genau wi-
działa, ani łon ani łona niemo piestronka na
palcyskach.

— Nie majom piestronków, padosz, na żo-
dnej ręce?

— No dyć nie majom, przecach łogłondała.

— No aleś im przeca izby nie dała, jeszcze,
co?...

— Toć ech im dała. Przeca jak wleźli do
nos, to uoba mieli rękawicki, tózech nie wie-
działa, cy żyniaci, cy nie.

— A łobsztaluwali co?

— Ja, łobsztalowali, widać, że to katoliki,
bo padali, że piątek i chcieli mieć ryby. Już
ech im dwie koząła usmarzyć.

— Maryjko święto! Co tu robić?... Jo ci
powia, Monika, zanieś im te ryby i powiedz,
że sam u nos na noc nie mogom łostać. Dzie-
piero bychmy se narobili łostudy i zgorszynio.
Przeca my som požadni ludzie i hotelu nie
momy lo takich jakichś grzyśników.

— Nie idzie, nie. Ale jak im to, farona kan-
dy, pedzieć. A jak som żyniaci i łobrażom sie,
szkoda zarobku. Co tu zrobić, aże co?

Naroz wrzescy stary:

— Mom, Monika, już wiem, jak ich wydo-
staniemy. Jo to som zrobia!!

— A jakóż to chcesz zrobić?

— No, już tam zrobia; nie bydź tako cie-
kawo. Jo wleza do gospodniej izby i byda
z śniemi godoł. Ty zaś zarozicki przynieś za
mnom te usmarzone ryby. Łobocymy!

Stary wstoł, wyjon fajfka z gemby i wloz
do fajnej izby, kaj se tajemniczo porka sie-
działa, czekając zamówionego jodła.

Gospodyni warciutko wziena usmarzone
ryby, jedna większo, drugo meńszo, położyła
je na półmisku, wraziła im do upieczonych
pyszczków po listku pietruszki i wlażła z tem
za gospodarzem do izby, i postawiła na na-
krytym już stole.

Po małej chwili wyloz gospodarz z izby,
podszedł tajemniczo do swojej starej i pado:

— Te, Monika, ci łoboje som żyniaci, to
prawe jest małżeństwo!

— Ja, małżeństwo?... Pedzieli ci?

— To ni, alech sie som przekonoł. Jakieś
na stole postawiła ta miska z rybami, łon za-
rozki chapnoł za ta większo.

— To małżonkowie, zicher małżonkowie....



Radca Zdechlik umarł. Wdowa po nim (kiero mu bardzo przola) idzie do zakładu pogrzebowego, ażeby zamówić lo zmarłego pogrzeb.

— Hm, pado se, pogrzeb pierwszej i drugiej klasy jest jednak za drogi, nie stać mie na to.

— No, — pado kierownik zakładu pogrzebowego, — toć majom jeszcze trzecio i szczworto klasa, bydzie toniej.

— Ja, tóż dajom trzecio... — pado po pewnym namyśle wdowa, — bo szczworto?... ni... musiolby boroczek stoć... niech se lepiej leży.

* * *

— Maryjko, dziolszko moja, powiedz, czemu se to nie chcesz wziąć Gustlika? To przeca taką gryfną i stateczny synek?

— No ja, mamulko... gryfną synek to łon tam jest, ino wiecie wielki niedowiarek, kiejs ech sie z śnim powadziła, bo padoł, że niema piekła!

— A idź ino, idź, bedziesz tam na takie ździebko patrzała. Jak sie pobierecie, a łon pożyje z tobą bez pora miesięcy, to tam już w piekło uwierzy, aże uwierzy...

* * *

— Człeku, jakżesz możecie taki okrwawiony lotać po ulicy?... No uspokójcie się, jo woz zaroz zawieda do dom, do żony!

— Co do dom?... Zanic w świecie, przeca jo stamtąd ida...

* * *

Stary przyjaciel do młodszego, mającego się żenić:

— Cóż to Zeflik. żynisz sie... a camużto?

— Ano widzisz, bo chca, żeby mi kobieta po śmierci łocy zawarła.

— Padosz? O mój przyjocielu, joch miał dwie żony, ale te mi dziepiero łocy łotwarły, aże łotwarły!

* * *

— Gustla, Maryjo... boch łyknał kneflik łod koszuli.

— No to dobrze — pado Gustla, — przy-nojmniej roz bydziesz wiedzioł, kaj go mosz.

* * *

— Okropne jest to wasze miasto — pado „Szwigermutra“, kiero przyjechała w odwiedziny ze wsi. — Ida wcora z „banhofu“, a sam dwóch buksów ciągiem lazło za mną.

Na to pado zięć:

— Czamuście sie, Muterko, nie łobejrzeli? Buksy by byli ale wryrywali, jakby was łobocyli....

* * *

— Nie mosz tyła kurzyć, Zeflik, sam w „ceitungu“ stoi, że kurzenie jest takie szkodliwe!

— A nie pleć ino, nie pleć. Mom, chwała Bogu, pięćdziesiąt lot, a dobrze wyglądom jak byk!

— No ja, widzisz, to prowda, ale kiejbyś nie był kurzył, to miałbyś terozki już wierza sześćdziesiąt.

* * *

Richard Porwoł i Zeflik Puścił, poznali kiejś gryfno dziółszka, Hejdla jej było na miano. Richard tak sie w niej rozmiłował, że postanowił sie z śniom łożeńić.

Ostrożniejszy Zeflik odmowioł swego kamrata od tego zamiaru i dowodził, padając:

— Widzisz. Richard, jak se weźniesz Hejdla, to tak, jak byś se wzion nowy „Stehkraglik“. Dziepiero jak se go wrzisz na kark, zmiarkujesz, jaki to bydzie numer. Tóž dej se lepiej pozór!

* * *

Zeflik Duldała na złość swojej ślubnej połowicy, z kierom jakoś nie mogli sie zżyć

(pomimo że już bez poranoście lot znosili to jarzmo), często bardzo zaglądał do szynku, w którym przesiadywał nieskoro do nocy.

Toć kobiecie się taki stan rzeczy nie mógł podobać. Myślała, myślała, coby to przeciw temu zrobić, aż wymyśliła, że chłop trza będzie strachem na droga poprawy nakłonić. Przeblykła się za djobła i skryła się za stromem na drodze. A kiej chłop jej tapoł z szynku mocno już naprany do chałupy, wystąpiła na-przeciwko niemu.

— Wszelki duch Pana Boga chwoli, wto to sam? — pyta Zeflik, a galoty mu sie trocha zatrzęsły.

— Joch jest djoboł! — mruczy kobieta.

Na to Zeflik:

— Cego, djoboł? Pójdź kamrat i dej mi ręka, jo przeca mom twoja siostra za żona!

* * *

— Maryjko, ty najduchu, pódź ino sam! — (woło z łokna staro Pytline do swojej pięcioletniej córeczki, bawiącej się z dziećmi sąsiadów na placu).

Maryjka wchodzi do izby, a „muter“ dalej na nią przezywo:

— Wielach ci to już razy padała, ślimoku jeden, że nie mosz sie kamracić z temi podciepami łod Kokotki. Nic sie łod tych chacharów dobrego nie nauczysz, a ino cie zepsujom. Jak cie jeszcze roz z śniemi łoboca, to ci ten pysk strzaskom, aże strzaskom!

W ciągu tego kozania macierzyńskiego wchodzi do izby sąsiadka z drugiego domu i pado:

— Słyszeli to już, „Frau“ Pytel... ta Marta łod Drzystońki, co to z tym golacem uciekła, przysła do dom, ale żeby wiedzieli.... — (widząc jednak małą Maryjkę, przerywa opowiadanie).

Pytlino (ogromnie zaciekawiono):

— Jeckusie, frau Musioł, no i cóż... i cóż?

Sąsiadka wskazuje jednak oczami na małą, że nie może przy niej dalej łozprowiać. Na to Pytlino:

— Marijko, dziubku mój, idź se trocha na plac, możesz sie pobawić z dziełszkami łod Kokotki, idź se wartko, idź!

* * *

Jak wiadomo, często słyhać objawy niezadowolenia lub zadowolenia z naszych urzędów, zależnie jak tam ktoś z temi urzędami ma

do czynienia, czy to na korzyść jego wychodzi lub nie.

Otóż kiedyś jeden z naszych pocziwców, żyjąc nieszczególnie ze swoją ślubną połówicą, wnosi skargę do sądu o rozwód, posadzając ją o niewierność. Stawia się więc na oznaczony termin i po stwierdzeniu stanu rzeczy pyta go sędzia:

— A dowody?

Na to nasz Zeflik:

— Jeckusie, panie sędzio, przyjnojmniej roz jest sprawiedliwość w tej Polsce, przynojmniej łoni mi dobrze radzą, żeby z tym gizdem d o w o d y, boć tyż przeca więcej nie jest wert.

* * *

— No, dzisiok pierszy roz łobudził mie na cas nasz nowy budzik.

— Pojakiemu?

— Ano, staro rypnęła mie nim w łeb.

* * *

Do jednego z naszych „kintopów“, kiejsik wiecór przychodzi jakiś chłop, melduje sie u właściciela kina i zły jak sto djobłów, zaczyno pieronić. Pado:

— W doma pierona, wiecerzo nie przyrych-
towano, dziecka głodne, nieumyte, łóżka nie-
pościelane, w izbie połno gnoju, a moja baba
siedzi sam u nich w kinie. Jak pierona nie
zrobiją, że zarozki stąd wylezie, to im ta cołko
buda przewróca do góry nogami!

Właściciel kina przyrzekł uczynić wszyst-
ko, byleby się ino chłop uspokoił i nie robił
breweryji. Wszedł potem do kina, stanął przed
ekranem i w te odezwał się słowa:

— Szanowne Panie! Muszę wam oznaj-
mić bardzo niemiłą rzecz. Przyszedł tu jeden
mąż po żonę, która jest tu w kinie, pan ten
twierdzi, że w doma niema wieczerzy, dziecka
głodne, nieumyte, łóżka nieposłane i inne jesz-
cze wygaduje rzeczy, pozatem grozi, że jak ta
jego żona nie przyjdzie, to tą budę przewróci
i t. d.... Najlepiej więc będzie, gdy ta pani,
której się to tyczy, wyjdzie sobie tylnem wyj-
ściem do domu.

Kiedy się potem światło rozjaśniło, ani je-
dnej kobiety nie było na sali.

* * *

Opowiadka wigilijna.

Bajka a może niebajka.

W cichy wiecór wilijny siedzioł se jakiś
karlus, som i łopuszczony przy stoliku w knaj-

pie „Pod Eisenbahną“. Nazywał się Markotny, a był... zresztom wszystko jedno cym był. Dzisiok jakoś był zły i łożżolony. Nikt z jego codziennych kamratów nie prziszoł do knajpy, musioł som ślepać piwsko, kiere mu jakoś nie podłaziło.

To tyż przeżywoł na ta cołko wilijo i wszystkie święta.

Naroz zjawił się kole niego Anioł. Był łoblecony w bioło, długo szata, kiero cuć było piernikoma. Anioł schylił się nad Markotnym i dotknął rękoma jego ramienia.

Markotny się łobejrzoł, a ujrzawszy Anioła pedzioł grubelacko:

— A idom se idom, jo ta nic nie kupia.

Zdowało mu się, że ten Anioł, to jakisik handlyrz, cy tyż „reisender“, a to skiż tego, że trzimoł w gorści malutki goicek, cyli jak sam tyż padajom „Christbaum“.

Po chwili zaś Anioł dotknył karlusa i rzekł:

— Markotny, wstoń i pódź semnom!

Ale sam Markotny, już fest łożgorszony, pado:

— A cóżeś to, pierzinie, za jeden? cóż to chcesz łodemnie, aże co?

Na to łodpedzioł Anioł:

— Jesteś twoim Aniołem, przyszedł Cię napomnieć, ażebyś szedł do domu, a nie siedział samotny w knajpie i sępol, w ten święty wieczór, kąd radość wszystkiemu stworzynyu.

I prawidł ów Anioł więcej, słowa pełne dobroci i słodyczy, aż Markotny wdziół czopka i wyszedł z Aniołem z knajpy na ulicę.

Kiej byli na dworze, Markotny się zatrzymał:

— Ale pedzom mi jeny, co ję tam byda w domu robiół?

Na to Anioł:

— Mosz pójść do swoich i się do kupy z śniemi raduwać, i dosz im sam ta choinka na znak weselo i pokoju.

I Markotny z Aniołem zaś ruszyli w drogę. Wieczór był cichy, piękny i uroczysty. Płatki śniegu leciały z nieba i niepokalanom białością okrywały ziemię.

— Dziwej się, czy to nie cudowne, czy to nie piękne?... — pado Anioł.

— Toć piękne, wiele to zaś marasu z tego bydzie... — łodpedziół Markotny i żół mu się zrobiło, że nie łostoł w karczmie, a doł się Aniołowi namówić. Byłby się jeszcze pora „zaj-

dli“ wychylił, jako że dziepiero terozki łodcuł
prowdziwe pragnienie.

Łozmyślając tak, zaś sie zatrziomł. Ale sam
go zaś Anioł pociągnął za ręcysko i padoł:

— Dzisiok każdy człowiek siedzi w doma.
Jeny ty nie chcesz być dokupy ze swojom ro-
dzinom. Nie gańba cie to, co?

— Przebocom, cy łoni znajom moja ko-
bieta?... — pyto Markotny.

— Toć znom! — pado Anioł.

— A moja „Świgiermutra“ znajom?

— Toć znom, przecach jo wasz Anioł, kie-
rego wom Pon Bóg przeznaczył na łopiekuna.

— Ja! Tóż to łoni som mój Anioł Stróż?

— No toć. Joch twój Anioł Stróż!

— Tóż suchajom jeny... padom im to po
dobroci... ciągnom se łodemnie, ale za dobrej
pogody!... Tóż to łoni mój Anioł Stróż i dali
mi sie łożynić? — pado Markotny. — A dyć
siandara byłby mi stokroć milszy, niżli taki
Anioł bez serca!

— Jo wiem, człowieku — pado Anioł —
żeś nie jest szczęśliwy. Ale to też dzisiok chca
sprawić zgoda pomiędzy tobą i twojom ko-
bietom. Pódź wartko!

I Markotny doł sie jak baranek wieźć dalej łod Anioła. Łod czasu do czasu musioł go jednak Aniołek porządnie sztuchać i ciągnąć, bo Markotny czem się barzij zbliżoł ku chałupie, jakosik więcej tracił chęć do tej zapowiedzianej zgody...

Kiej tak przechodzili bez ulice miasteczka, pokazywoł Anioł Markotnemu łoświetlone łokna, bez kiere widać było świeconce Boże drzewka i uroczysty śpiew radosnych kolend.

— Widzisz, mój kochany, jak szczęśliwi som dzisiok ludzie.

Kiedy już byli blisko domostwa Markotnego, pado Anioł pełen dobroci:

— Widzisz, toć jo byłech na waszem weselu.

— Ja? no i cóż?...

— Twoja młodo oblubienica tako wtedy była piekno w tym wioneczku na biołem czole...

— Ja piekno, no i cóż dalej?

— Liczka takie miała szumne, jak jabłuszka. A jak wstydlowie spuszczała ślypka, kiej ci przy łoltorzu przysięgała wieczno miłość — pado Anioł.

Na to Markotny:

— Słuchajom, przestanom już berać i rada im po dobroci, pódźmy nazod zkądeśmy

przyšli, wypijemy se do kupy po jednym i bydzie nom tyż dobrze, niech im sie nie zachciewo boznów.

— Jak możesz być takim zatwardziałem — łodpowiado Anioł. — Przeca pamiętom, jakieś jom wtencos nazywoł... szczęściem swoim, dziubeckiem jedynem, no czy nie było tak?

— A może i było....

— Padołeś, że sie miłość twoja ku niej nie skońcy nigdy!

— Cego, joch to pedzioł?...

— Tak, tak mój drogi... padołeś, i widzisz, to samo dzisiok znów musi między was powrócić... W ten święty, cichy wieczór wigilijny otwierajom się wszystkie serca i ludzie odnajdują się zaś w miłości i dobroci.

Markotny milczał i włókł coraz ciężej swoje nogi. Po chwili z pewną nieśmiałością pyta Anioła:

— Przebocom, cy Anieli znajom tyż przyszłość człowieka?

— Poniekąd znamy, więcej nam bowiem Bóg dał mocy, aniżeli wam grzesznym na ziemi.

— Tóż przebocom i bydom tacy dobrzy i pedzom mi, jako jest ta moja przyszłość?...

— Widzę cię — powiada Anioł — siedzonego w pokoju między swoimi. Boże drzewko świeci się, przystrojone na stole. Oczy twoje pełne dobroci patrzą w światło, a potem pełne wesela na rozradowaną żonę, siedzącą obok ciebie na kanapie...

— Maryjo!... To wszystko widzom?... — pado Markotny.

— Wszystko! I to tak dokładnie, jak ty widzisz wszystko naokoło, czego się możesz dotknąć rękami... Widzę, jak jom łobejmujesz ręką, ona tuli ci głowę na piersi, a ty ją zaś nazywasz swoim szczęściem i swoim dziubkiem jedynym...

— Tóż to nie jest znochwione? — pado Markotny.

— Nie, to szczyro prawda! — łodpowiada Anioł....

Tak rozprawiając, przyśli przed mieszkanie Markotnego. Na pierwszym sztoku świeci się w łoknie.

— Widzisz, mój kochany, łona czeko na nos — pado Anioł i chycił za zwonek.

— Jeckusie... dajom pokój... nie zwoniom — szepcze pełen trwogi Markotny.

— Czamu to nie? — pyta pełen radości Anioł.

— Jo im radza, nie zwoniom... a pódźmy lepiej nazod, zkądechmy przyśli!

— Nie, strapiony mój człowieku, dzisiok musisz zaś łodzyskać swoje szczęście.

I Anioł chycił ponownie za dzwonek i pociągnął zań z całych sił.

Chwila ciszy, potem słyhać łotwieranie łokna i jakiś głos kobiecy woło:

— Wto tam?

— To jo, Anioł waszego domu, przywodzi ci twojego chłopa.

— Dockajom chwilka — pado ten sam głos.

Markotny chcioł sie Aniołowi wyrwać, ale Anioł trzymał go fest, nie puścił.

— Raduj sie, człowieku — pado — przeżyjesz zaś jak downiej szczęśliwy wieczór... — i zaczon cichutko nucić:

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...
Wstańcie pasterze...”

Ale nie skończył, bo gwołtem łozdarły się dzwierce i jakoś mokro chadra chlapnyła mu między łocy, potym zaś pocuł jakoś twardo miotła na plecach i głowie i głos pełen piekielnego jadu:

— Mosz, ty ślimoku djobelski... a mosz, ty chacharze łóskliwy, kolenda...

I kibel jakisich pomyji cy cegoś gichnył na
głowa Markotnego i jego biednego, przerażo-
nego Anioła.



Eisenbaniok Grychtuła wjechał z maszynom na ślepy „gleis“, rypnął o nasyp i porządnie się strzaskoł. Leży w lazarycie, kaj go odwiedził prezes kolei, dowiedziawszy się o nieszczęściu.

— No i jakosz im się powodzi, Grychtuła?

— No dziękują, Panie Prezesie, już lepiej.

— Jak dawno to już służą na banie?

— Ady już dwanoście lot, Panie Prezesie.

— A jak starzy to som?

— Dwa śtyrdzieści, Panie Prezesie.

— Żyniaty?

— Ja, Panie Prezesie, z urodzonom Gmyrek.

— Tak, no toż opedzom mi jak ich to nieszczęście spotkało?

— A dyć Panie Prezesie, ganc einfach, Hażbieta dostała małe, toż ech się musioł z śniom łożenić...

*

*

*

Gdzieś tam na wsi umarł handlyrz. Baba zmarłego przoła mu bardzo, aże przoła, choć marcha nieboszczyk za życie lubił se tam i pociągnąć z flaszecki, no i popieronić.

Najgorzej to, że jako handlyrz nie zawsze broł genau z wogą i kaj mógł, to tam ocyganił. Myślała często o nieboszczyku, kaj też

łon tam terazki bydzie i czy czego nie potrzebuje. Kiedyś ukazuje jej się we śnie duch i prowadzi ją do czyścia. Kiedy zaszli przed wrota czyściowe, patrzy, a tam w ogniu aż po kark stoi jej chopeczek i miłosiernie patrzy na nią. Prosi więc owego ducha, coby mogła uczynić, żeby męża z mąk wybawić. Na to duch:

— Złóżycie na biednych sto złotych, a tem z pewnością ulżycie jego niedoli.

Poszła więc i zrobiła, jak jej duch rozkazał. Chcąc się jednakże przekonać, czy ofiara poskutkowała, poszła znów do bramy czyściowej (do której już знаła drogę), no i zobaczyła chłopka stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do pasa. Zwróciła się więc ponownie do swego ducha z zapytaniem, coby jeszcze uczynić powinna, ażeby mężowi więcej ulżyć w niedoli. Na to duch:

— Ofiara złożona przez was widać nie wystarczyła, musicie jeszcze dać na ten sam cel sto złotych.

Kobiecinka poszła do gminy i sto złotych złożyła jak jej radzono. Nazajutrz idzie znów przed czyściec, zaglądo przez dźwierze i widzi chłopieczka stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do kostek. Zjawia się duch i radzi,

żeby na całkowite wybawienie cierpiącego jeszcze ofiarowała sto złotych. Na to kobieta:

— Wiedzą, mój chłop za życia zawsze się skarżył na zimne nogi i każdy raz-ech mu musiała dawać „Wermeflasza“¹⁾ do łóżka. Tóż myśla, że mu terazki domy pokój, niech se boroczek już tak stoi, aże stoi, bo mu aby bydzie w nogi ciepło.

* * *

W Szopienicach na dworcu podchodzi do kasy biletowej pewna kobiecina z czteroletnim synkiem, łobleconym fajnie modern w marynarski ancug z długimi galotami, no i tak copka z napisem „S. M. S. Werwolf“. (Łobleczenie to dała ponoć małemu Karlikowi jego potka Elfrida z Gliwic.) Matka pado do kasjera:

— Dają mi jeden bilet i pół do Katowic.

Kasjer widząc chłopaka, mówi:

— Słuchajom ino, „Muter“, czy ten wasz synek nie musi też mieć cały bilet?...

— Pojakiemu? — pyto kobiecina.

— No bo jejich synek, widać już starszy, kiej w długich chodzi galotach.

Rezolutna niewiasta, nie zbита z tropu, podnosi trocha kiecki i mówi:

¹⁾ butlę z ciepłą wodą.

— Ja, tóż im to ło galoty idzie?... Widzom, jo mom krótkie a płaca cały bilet, tóż się to wyrównu.

Zaskoczony takim niezwykłym argumentem kasjer, daje kobiecie żądane bilety.

Całe zajście byłoby się na tem skończyło, cóż, kiedy opodal stoi se jakoś handlyrka, która przysłuchiwała się rozmowie i kupiła dla siebie już bilet poprzednio. Oburzona podchodzi do okienka kasy, podnosi również kiecki i wrzeszczy:

— Pedzą mi ino, co to za cygaństwo na tych banach? Tóż jo wcale nie mom galot a musiaľach za cały bilet zapłacić? „Zofort“ mi dejcie pieniądze nazod!...

* * *

M ą ż: — Mari, śniło mi się, żech umar.

Ż o n a: — A jak długo byłeś w czyścju?

M ą ż: — Ani trocha. Jak mie święty Piotr ujrzoł, to zarozki zawołoł: Ty Hanys, pójdiesz do nieba, bo jo znom ta twoja baba.

* * *

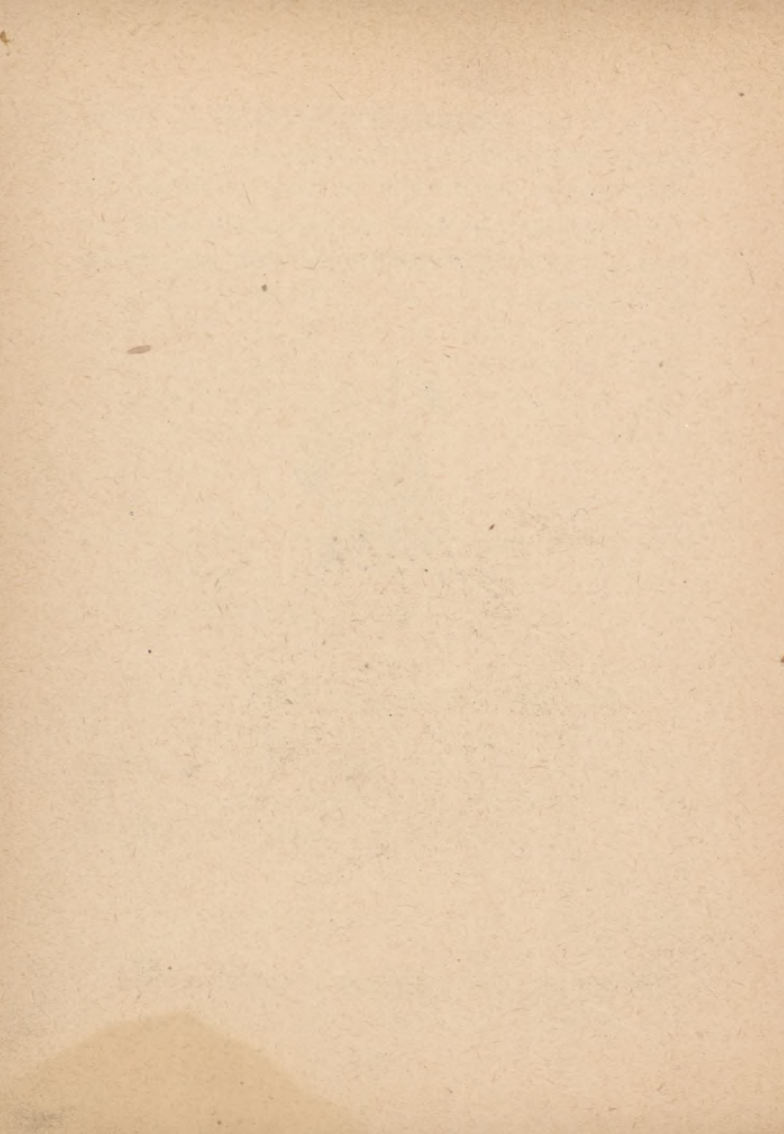
Nowocce umar chłop, płacze więc i lamentuje:

— Och bidno jo sierota, co jo terazki poczna na świecie bez ciebie sama jedna?...

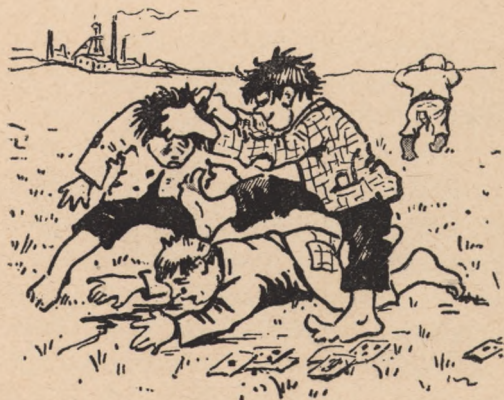
— A dyć nie płaczcie, Nowocko — pocieszają somsiadki, — przeca tego boroka już nie wskrzesicie, choćbyście se łocy wypłakali.

— No dyć prawie macie, a wyjmcie mu tam tą gromnicą z gości i schowcie, przydo się lo drugiego.





Rozdział IV.



Nasze skrzoty i najduchy



Przygody św. Mikołaja.

(Bajka.)

Z łostatniej swojej wędrówki na ziemia wrócił święty Mikołaj do nieba bardzo marokotny i smutny.

Podróż z 5-go na 6-go grudnia blank sie nie powiodła. Ludzie przyjeni świętego i jego podarunki łozieuble i z niechęcią.

Bali, niekierzy se jeszcze warguwali i biedoka przedrzyźniali, sztuchając się między sobą i śmiejąc.

— No i jakósz to tam, staroszku? — pyto sie św. Piotr przy dźwierzach niebieskich. — Jakóž ci sie tam rajza powiodła? Widza po minie, że ci tam niebardzo poszło, co?

Święty Mikołaj westchnął se ciężko.

— Oj nie poszło, nie, święty Pietrze. Blank mi sie ludzie zmienili i popsuli... Przemądrzałe to wszystko, a zimne, a drwiące, bez serca. Podarunki moje już im radości nie sprowiają i nikogo nie cieszą... Łoblecenie moje (po prowdzie łaża w starym kapudroku i kapie, ale na te ciężkie czasy, kaj tako momy drożyzna, nie byda przeca porząd suszył głowa Panu Bogu, uo nowe uoblecenie...) Tóž padom ci, że uoblecenie moje blank wyśmioli... A nojgorzej dzie-

ci! Downiej, to te najduchy wszystkie takie były dobre, kochane, a miłe. Tak się to z byle bździnki radowało! Cekali pod dźwierzami i śpiewali fajne nobożne kolendy adwentowe... a teraz... nic!

Zdziwił się święty Pieter.

— Nic, padosz?

— A nic.

— Po jakiemu to może być?

— A cy jo już wiem.

— No, przeca do sto dREWien, downiej ludzie wdYcki radowali się podarunkom?

— Ano toć prawda, radowali się! Terazki już nic! Przynajmniej moje podarunki im się nie podobały, aże nie!

Zadumali się święci starszKowie i zasmucili. Pyto się zaś po pewnej chwili zadumany św. Piotr:

— A cóżeś im to zaniósł, Mikołajku kochany?

Święty Mikołaj rozciapierzył ręce.

— A dyć to samo, co i inksze roki... Nawet ci powia, Pietrze kochany, że się w naszych warstatach niebieskich rubo poprawiło. Graczki¹⁾ piękniejsze, nie sprowadzomy już tych roztomaitych śmieci berlińskich, ani inkszych.

¹⁾ zabawki.

Łodkad sie w te sprawy wdała Nojświętszo Panienka, to ci terozki u nos takie fajne majstrują graczki, że aż sie w łoczach mieni... Zwyczajnie, kobiety w tych rzeczach więcej mają gustu, delikatniejsze som... Tożech tyż dzieciskom zaniósł na ziemia roztomaite wózki, lalki, wojoków pełno... A jakie to wszystkie, padom ci, jak żywe...

— No i...?

— A nic.

— To przeca nie do wiary!

— Ale, dockiej ino, jak ci łopedza wszystko po porządku, dziepiero sie bydziesz dziwił. Tóż na ten przykład, włąza do jakiegoś fajnego domu, zwonია, łotwierają dźwierze. Z dźwierzy wyłazi jakiś łozkociombany łeb i z pyskiem na mnie: „Juzaś dziod po fechcie, a cy vos tyż djobli łoztrząśli!... Niema nic, niema nikogo w doma!“ „Ale nie, dziółcho, jo tam nic łod vos nie chca; jestech święty Mikołaj, przychodza do dzieci.“ „Proszę Pani, bo sam przyložł jakiś dziod i pado, że łon jest święty Mikołaj, a przyszoł do dzieci, cy go mom puścić do izby?“ Z izby słyhać głos: „Także coś, no to wpuść go już, tylko niech se nożyska łobetrze, żeby mi tepichów nie zamaraśi!“ Włąza do izby... widza synka i dziółsz-

ka. Jedno wierza mo łosiem, drugie z dziesięć lot... bardzo piękne dziecka. Tóż wyciągom z miecha bęben... synek krzywi się: „E bęben, co mi po bębnie“, pado. Pytom się: „A cobyś to chcioł?“ A łon mi na to: „Jo myśłoł, że mi Radjo przyniesiesz...“ To samo z dziółską: dołech jej piękno, srogo lalka, a łona skrzywiła dziub i pado: „Eee... tako lalka?“ Tóż się zaś pytom: „A jakóż byś to chciała mieć lalka?“ A łona: „Z bubikopfen“, no i dźwignąwszy kiecuszki lalce, pado: „Żeby miała dessous.“ „Jakie to zaś dessous?“ A ten śpik śmieje się i pado: „No majteczki (wiesz galoty), a nie barchanowe, a jedbowne, proszę pana...“

— No widzieliście święci, to dziepiero śpik zatracony!...

— Doczkiej święty Pietrze, to dziepiero początek. Pytom się potym: „A paciorek umiesz rzykać, co? No, powiedz mi paciorek!“ Na to pado mi mamusia: „Powiedz Dziuniu: ja jeszcze jestem maleńka, nie umiem jeszcze paciorka... Ale zaśpiewej no świętemu Mikołajowi pioseneczkę, no tę, którą potrafisz... Ja się boję sama spać..., albo: Titine, ach Titine..., no zaśpiewej aniołku, zaśpiewej!“ Juzech nie czekał, aż mi zaśpiewo, jenoch wartko uciekoł,

aż się zakurzyło!... Właza do jakiejś inkszej chałupy, dzwonia, tu mie zarozki wpuścili. Wida, synecek szykowny... Nie boi sie, mądrała widzę. Wzrok żywy, łoczka jak z wągło. Taki ci bęben szwarny, zech łoców łod niego nie móg łoderwać, tak mie ten śpik za serce chyciół. Tóż sięgom wartko do torby i wyciągom piekno trąbka. „Phy“, pado, „trąbka? Ja-bym wolał gramofon, brauning i narty... Nie potrzebuje twojej trąbki, to dla dzieci.“

Święty Piotr chycił się za głowa.

→ No, wiecie święci, to sie przeca świat kończy!

Tymczasem święty Mikołaj, bardzo widać łozgorszony, łozprowiół coroz to inksze historyje.

— Kaj indziej jeszcze gorzej. Jakieś dwie śpikule, wykryglowane, wypudrowane, dziuby cerwono pomalowane, łeby łostrzyżone, tak, zech długo nie móg zmiarkować, czy to dziółchy czy syncyska. Dowom im piekne książecki, bajeczki, a łone na mnie: „Takie coś! My chcielibyśmy Jazz-band! no i murzyna!“ Słyszoleś ty kiejś o tym, dyć jo ani nie wia, co to takiego ten Jazz-band!

— Ano prawie i jo nie wiem, co to za djo-
belstwo! — pado św. Piotr i zamyślił sie
głęboko.

— Co robić, padom se, ida dalej. Właza
zaś do jakiejs chałupy, zwonia, a tu wyłazi ja-
kiś ruby panoczek. Padom: Niech bydzie po-
chwalony Jezus Chrystus. A ten ci na mnie:
„Hier niks po polsku... machen Sie, dass Sie fort-
kommen... Verfluchte Polaken“, no i zatrzasnął
mi dźwierze przed nosem... Ano toch wzion
i poszoł. Właza terozki do jakiejs ubogiej cha-
łupki i padom se: No dyć, wierza, to tam były
dziecka łod samych bogatych... ale sam to bie-
doki, tóż myśla, że mie z radością przyjmą.
Ale kaj tam, wlozech ci z dyszczu pod rynna.
Ledwoch ci wloz do izby, pisk i radość. Dziec-
ka obtoczyły mie kołem i wrzeszczą: „O, o, o,
święty Mikołaj!“ A było ci tam tych dziecek
jak plewów. Pod tym jednym względem, to ci
sie nic nie zmieniło. No chwała Bogu. Biera
ci z torby szkatułka z wojokami i dowom ją
nejstarszemu. A tu ci fater (ponoć jakiś ko-
munista) na mnie: „O widzisz go, pieroński go-
rol, z czym to przyloz do proletarijackich dzie-
cek... Z wojokami... Można jeszcze mosz ka-
tejmusek, abo biblijka?... Zbierej, pieronie, te
swoje gorolskie klamory i ciś za wcasu, żebyś

nie łoberwoł po tym starym puklu!“ Rozplą-
kołech sie i poszedech. Toć nie zrażony, łazi-
łech tam jeszcze po roztomaitych izbach, byli
tacy, co mie z radością przyjęli i przywitali,
ale mało ich, bardzo mało było... W jednym
jedzinym domu to mie bardzo grzecznie przy-
jeni i raduwali się bardzo, alech i tam wpod.

— Po jakiemu?

— No bo to były żydy...

— No i cóż ty boroczku, święty Mikołaju,
terozki bydziesz robić? — pyto św. Piotr. —
To na bezrok już, wierza, nie pódziesz na ta
paskudno ziemia?

— A póda, póda... toć sie, wierza, ludzie
jeszcze poprawią. A jak nie, to póda do Pana
Boga i łozpowiem mu wszystko i poprosza ło
rzetelne różgi, a jak nie inaczej, to o zielazne,
tak jak przed dziesięciu laty; może sie potym
spamiętają ludzie, jak ich zaś bieda wysiece!

— Terozki źle, oj źle na tym świecie!

* * *

— Czamu to tak płaczesz, Hanysku, co?

— Bo ciotka Haźbieta... u...u... spadli u...u...
ze schodów...

— No przecach ci już padała, że se ciotka
nic nie zrobili.

— Ja, jo wiem, u...u..., że nie... u...u... ale Hejdla widziała... u...u... jak ciotka slecieli... u...u... a jo ni... u...u...

* * *

— Ach, terazki bych cie tak słodko pocałowała, aż strach! — pado sześćioletnia Weronka.

— Dziecko, co ty pleciesz? — woło oburzony ojciec; — a któż cie to nauczył takich rzeczy?

— A to nasza Barbórka — odpowiada śpik niewinnie.

— Barbórka? No doczkiej, naucza jo jom całować, aże naucza!

Mówiąc to, odpina pasa i wychodzi gniewnie z izby. Wtem wchodzi do pokoju matka.

— A kajże „fater“? — pyto.

— „Fater“? A dyć poszli do kuchni, ucom Barbórka całować.

* * *

Mały Hanys poszoł z ojcem do menażerji. Stoją prawie przed elefantem. Hanysek przyglondo sie z zaciekawieniem i padł do ojca:

— Fater, tako rubo skóra toby nom sie ale łobum przydała....

— Pojakiemu?

— Ano, Fater, wom... jak wos mamulka pierom, a mnie... jak zaś pon rechtór walom.

* * *

W teatrze polskim w Katowicach wystawili piękną baśń „Szkłana Góra“, ciesząc się ogromnem powodzeniem wśród młodzieży.

Kiedys jedna matusia powiada do syna:

— Karlicku, umyj se kark, pódziemys dzisiok do teatru na ta jakoś tam góra ze škła.

Karlik se kark fajnie wyszorował. Cóż, kiej fater miast po bilety wloz widać kaj indziej, no i z teatru nic.

Za pora dni powtórzyło sie to samo: Karlik kark wymył, ale do teatru nie poszoł, bo to było przed gieltakiem.

Po gieltaku zaś to samo: już mieli iść, kark był fajny, ale coś wlażło w parada, no i zaś nic z tego.

Nareszcie po pierwszym tatulek przynieśli bilety. Pójdą napewno. Mamulka woło Karlicka i przypomino, żeby se kark umył, bo póda do teatru. Na to Karlik:

— Ja, nie ma tak dobrze, zaś sie umyja i byda cołki tydzień, jak gupi lotoł z umytym karkiem, a do teatru nie póda!

* * *

— Czamusz to płaczesz, Richardku?

— A boch wleciół do kupy kurzu, a mamulka mi wykłupali galoty.

— No to przeca bez to nie potrzebujesz płakać.

— Ja, ale mamulka, jak je klupali, to mi nie zjeni galot!...

* * *

— Mamulko, czamu to niewiasty wdycki rade noszą białe szaty?

— Ano widzisz, moje dziecko, to skiż tego, że bioło szata oznaczo szczęście i radość, zaś czorno smutek!

— A tóż tak? terozki dziepiero wiem, muterko, czamu młody pon, jak idzie do ślubu, mo czorne łachy...

* * *

Karlik przynosi ze szkoły do dom świadectwo. Matka cyto go:

„Pilność dobra, staranność dobra, zachowanie złe.“

— Słuchejno, ty śpiku — pado oburzono, — zachowanie tyż powinno być dobrze!

— Ja? Tóż powiedzcie to, muter, rectorowi, Jo przeca nie pisha „zeugnisów“¹⁾.

* * *

¹⁾ świadectwa.

„Mam w domu piękno „szparbiksła“, podaruwała mi jom na dzieciątko ciotka Barbórka. Jest to świnią ze szparom w łebie, bez kiero się wciepuje pieniądze!“

* * *

Tatulek z mamulkom wracajom do domu z miasta, kaj byli w sklepach po zakupy. Zastajom dzieci, kiere łostawili same w domu grzeczne, jeny mało Weronka mo trocha zapłakane łocy.

— No, dzieci, bawiłyście się to pięknie, co?

— O ja, mamulko. Gralichmy się w fatra i w mutra.

— Ja? A jakieście to robiły?

— No, przystawilichmy się ku stołowi stolki i jedlichmy łobiod, kierych ja uwarzyła. Karlik mi potym pedzioł, co takiego żarcio to nie może przełknąć, piznył mi potym w pysk i prasknył talyrzym ło ziemia... Fajnie-echmy się grali...

* * *

— Synek, dyc cicho! Czamuż to tak płaczesz? — pytajom muterka.

— A bo mi żol, że te lwy tyła chrześcijanów zeżyrajom!

— No dyć to przeca nie potrzebujesz zaroz tak beczeć, ty dobre serce moje. Przeca to w kinie, a nie naprowda.

— No ja muter, ale podziwejcie sie: tyn biedny lew tam na zadku, jeszcze ani jednego nie chycił. Dyć łon z głodu zdechnie.

* * *

— Jak urosna — pado Marijka — to byda rehtorką.

— A jo — pado Stazyjka — byda muterką i byda mieć wiela dzieci.

— A to fajnie — pado Marijka, — bydom do mnie chodziły do szkoły, a to byda je prać, prać, prać.

— Zmoro djosecko — pado Stazyjka i zaczęno gorzko płakać. — Co ci zrobiły moje dzieci?

* * *

Pytlicka do swojej małej córki:

— Hażbietko, ale ty przeca nie łozprowiosz nikomu, jak sie czasem mamulka z tatulkim powadzom, co?

— Ale kaj tam, mamu, jo ino łozprowiom, jak se do kupy przajecie....

* * *

— Karlicku — pado ociec, do którego przez podwórze zdąża nieubłagany wierzyciel. — Schowia sie do śranku¹⁾), powiedz tymu panu, kiery sam idzie, że mie nima w domu, żech poszoł fórt.

Karlik zrobił, jak mu fater polecił. Kiedy jednak wierzyciel pyto, kiedy ociec przyjdą nazod, otwiero skonsternowany Karlik drzwi od szafy i pyto:

— Fater, kiej to przydziecie nazod?...

* * *

W pewnym domu mają bardzo ładnego i mądrego psa, którego wszyscy bardzo lubią. Cóż, kiedy coś się pieskowi stało, bo przestał jeść. Robiono wszystko, aby ulubieńcowi przywrócić apetyt, ale nic nie pomagało, jak i nie pomógł weterynarz, do którego się o pomoc zwrócono. Co tylko pieskowi w pysk gwałtem pakowano, to wszystko zwracał. Kiedy cała rodzina łamie sobie głowę nad pytaniem, co może być u pieska powodem takiej niezwykłej choroby, podchodzi mały pięcioletni Gustlik i pado:

— Fater, jo już wia, camu nasz pies jest chory. Wiecie, łon zawsze jak widzi inkszego

¹⁾ szafy.

psa, to mu wonio kiele łogona, tóż mu sie tyż
potym wdycki robi źle. No nie?...

* * *

— Hanysku, czamusz to tak płaczesz?

— A bo tatulek rypnęli sie młotkiem
w palec.

— No to z tego powodu nie potrzebujesz
tak płakać!

— Joch sie tyż przodzi śmioł z tego, ale
potym mnie fater zeprali.

* * *

— Wyciepiesz zarozki te grziby, ty śpiku!
Jak to w doma uwarzycie i zjecie, to sie otru-
jecie... to są grzyby trujące.

— No dyć jo wiem! Tych grzybów nie by-
dziemy ani warzyć, ani jeść. Jo ich, wiedzom,
ino niesa na sprzedaż!

* * *

M a r i j k a: — Ale to dziwne, aże dziwne,
nom ci boczoń przyniośł braciszka aż do sa-
mego łóżka.

Z e f l a: — To nic tak dziwnego. Mojemu
fatrowi przyniosła jakoś frela syneczka aż do
kancelaryje!...

* * *

W pewnym małym miasteczku, przed domkiem, na którego drzwiach wejściowych umieszczona jest tabliczka z napisem „Katarzyna Krzykała, położna“ — stoi taki mały śpik, wspina się na palcach, usiłując dostać dzwonka, umieszczonego pod tabliczką. Przecho-
dzący na spacer miejscowy proboszcz widzi bezskuteczny wysiłek malca, podchodzi do baka, bierze go pod ramiona i podnosi do dzwonka. Chłopiec pociągnął i zadzwonił, aż się cała chałupa zachwiała. Poczciwy ksiądz proboszcz postawiwszy urwisa na nogi, pyta:

— No, a teraz co?

— Terozki? No teroz księżoszku musimy ale pieronem uciekać!...

* * *

W „strasenbance“¹⁾ siedzi se na ławce jakiś synek, kieremu z nochola wyłazi ciągiem śpi-cysko. Jakiś starszy jegomość, którego ten niebardzo przyjemny widok drażni, pyta:

— Te, mały, nie mosz to „sznuptychli?“

— O ja, mom, — pado synek, — ale im nie pożyczają!...

* * *

Karlik stoi z Manusiem na gościńcu przed chałupom i skrzeczy.

¹⁾ tramwaju.

— Muter, muter!

— Czegóż chcesz, jancykryście? — pyto matka, wyrzawszy z okna.

— A dyć nic, ino Manuś nie chcioł wie-
rzyć, że wy świdrzycie¹⁾!

* * *

— Faterlicku, cy wy poradzicie sie podpi-
sać, kiej zawrzecie łocy?

— No, cóż ci po tym, Hanysku? Nie próbo-
wolech jeszcze, ale myślą, że to żoden kunsztik.

— No tóż faterku, zawrzyjcie łocy i pod-
piszcie moje świadectwo ze szkoły.

* * *

Rechtór nakazuje dzieciom w szkole, żeby
ile razy u nich w domu zdarzy się jako zara-
żliwo choroba nie przychodziły do szkoły.

Mało Maryjka Kopyciok nie przyszła bez
trzy dni do szkoły.

— Nasi muter byli chorzy, — pado Ma-
ryjka.

— A czy była to zaraźliwa choroba? —
pyto rechtór.

— Nie wiem, ale fater padają, że to już u
nos jest chroniczne.

— Co ty padosz, aż chroniczne? A cóż
matce brakowało?

¹⁾ zezujecie.

— No jo tak prawie to nie wiem, ale za każdym razem to momy potym w doma jedno dziecko więcej.

* * *

— A chtóz to strzaskoł ta szyba?

— A dyć mamulka, ale to z winy tatulka, kierzy łodskocyli na bok, jak mamulka na nich ciepnyli gorkiem.

* * *

— Fater, jedyn synek mi pedzioł, żech jo tyż jest tako małpica, jak wy...

— A coś ty mu na to pedzioł?

— A nic!

— A czamu to nic?

— No wiecie, bo ten gizd jest mocniejszy łodemnie...

* * *

Mały Karlik pado do swojego bogatygo ujka, kiery do łojców przyszoł w łodwiedziny.

— Ujku, pogryźcie se trocha trowy, ja!

— Cego, trowy? A tobie co zaś strzeliło do łeba, Karlik?

— A wiecie ujku, bo tatulek padali, że jak bydziecie gryźli trowa, to potym bydymy mieć automobil i swoja willa.

* * *

Karlik i Zeflik dostali łód fatra „sparbiksle“ czyli jak jeszcze padają, skarbonki. Mieli do nich składać swoje oszczędności, aby sobie potem na dzieciątko mogli kupić podarunki. Krótko przed Bożem Narodzeniem Karlik z bekiem przychodzi do ojca.

— Cóż ci się to stało?

— A dyć Zeflik, ten gizd, wtyko dycki swoje pieniądze do mojej „sparbiksli“.

* * *

— Mamulko, — pado mało Stazyjka oburzona, — wiecie ten nasz Karlik, to ale głupi, większego to niema na całym świecie.

— Pojakiemu? — pytają mamulka.

— Bo wiecie, mamulko: wieczór, jak nom kożecie żykać pocież, to łon ceko, aż skończa, a potem to ino pado „Amen“ i już jest fertig!

* * *

— Mutterko, a czy ludzie to w ziemi rosną?

— A czamusz to, Hanysku?

— No, bo ujek, co przyjechali wczoraj ze świata, padali do fatra: Człowieku, a kajś tyż tako baba wykopał?

* * *

U Niechciołów przyniósł bocian dziecko. Niechcioł pyta się małej córeczki:

— No Stazyjko, radujesz się to, że ci bacion przyniósł zaś siostrzyczka? co?

— O ja fater, jo sie tam raduja, ale wiecie, coś inkszego to nom przeca więcej trzeba!

* *

Pytlino pado do małego Hanyska:

— Hanysku, idź se synecku trocha do Nowicki i pogrej se ze Stanikiem, ale pięknie, co-byście się nie stracili. Idź synecku, idź, muterka majom robota, bydom kuchnia szajrować....

Hanysek poszoł i coś po trzech godzinach przyszoł do dom na łobiod.

— Maryjko święto. Hanys... a cóżeś to zaś najduchu jedyn, porobiół? Wtóż ci to, ty jancykryście, tela dziurów w jakli powysrzygoł?

— A dyc jo, mamulko, do kupy ze Stanikiem Mychmy się bawieli we sklep, łon był kupiec i sprzedowoł, a joch był „Szweicerkeją”¹⁾....

* *

Dwóch chłopaków, idąc ze szkoły, znalazło na drodze złotego. Nie wiedząc, co z nim począć, umówili się, że pieniądz zatrzyma ten, kto powie największe kłamstwo. Stanęli zatem pod domem i zaczęli sobie opowiadać, cyga-

¹⁾ ser szwajcarski.

niąc przytem co jeden, to więcej. Wtem przechodzi nauczyciel i pyta ich się, co tu robią.

— My jeden drugiego cyganiemy, panie rehtór — odpowiada jeden z chłopaków.

— Co? cyganiecie? Nie wiecie, że cyganić to grzech? Nie należy nigdy kłamać. Ja też jeszcze nigdy nie cygałem — mówi zgorzszony nauczyciel.

Na to mówi jeden chłopak do drugiego:

— Józek, dej mu tego złotego, bo łon go teraz wygroł!...

* * *

Mały Zeflik przychodzi ze szkoły cały wymazany marasem.

— Ty jancykryście! jak to zaś wyglondosz? — padajom muterka.

— A mamuliczko, boch sie przewalił do marasu!

— W tych nowych galotach!...

— No dyć tak ech gibko wleciół, coch już nie mógł galot seblec.

* * *

F a t e r: — No, ciesz się Karliczku, boczoń przyniósł ci małego braciszka, chcesz go obejrzeć?

Karlik: — Ech nie, fater, to mi tam nie nowość, ale wiecie, tego boczonja tobym chcioł łoboczyć.

* * *

W pewnej rodzinie zakupili rodzice swoim dzieciaczkom, 6-letniemu Zeflikowi i 5-letniej Gustli, podarki na gwiazdkę i schowali takowe na szafie w izbie. Zauważył to Zeflik i postanowił łoboczyć, co to tam to „dzieciątko“ przyniesie, jak zaś fater i mutra puda do miasta. Kiedy więc rodzice wyszli z domu, namówił Zeflik Gustla, oboje przysunęli ku szrankowi stół nakryty białym obrusem, no i zaspokoili swą ciekawość. Po tej procedurze odsunęli stół na stare miejsce.

Matka wróciwszy do domu, zauważyła plamy na obrusie; woła więc dzieci i pyta:

— Zeflik, chto to ten „tisztuch“ podeptoł?

Zeflik pado:

— Jo ni, to zrobiła Gustla.

Na to Gustla:

— Muter, to Zeflik zrobiół, łon wloz na stół, bo łon chcioł widzieć „dzieciątko“, coście go nom w sklepie kupili.

Matka bierze karwacz. Zeflik w bek i pado:

— Gustla mie do tego namówiła, łona tyż wlazła ze szłapami na „tisztuch“, bo tyż chciała widzieć „dzieciátko“.

Matka zaczyno dziecka jedno po drugim smarować i pado:

— Wy, łowady łoszkliwe, joch sam stół cystym „tisztuchem“ przykryła, coby już był na wilijo, a te jancykrysty mi go tak zmarasiły.

Zeflik sie jakoś wydarł mutrze z rąk i becząc, pado:

— Wroźcie se kajś wasze dzieciontko, kiej nos za nie pierecie.

* * *

— Ciotko, łostawiłech wom bombona¹⁾.

— A to pięknie Wichtorku, no tóż mi go dej!

Ciotka bierze cukierek, wkłada do ust i zjada go.

— No, ciotko, cy smakował wom tyn bombon?

— No toć że smakował, syneczku.

— No widzicie, terozki blank nie moga poszkopić, czamu go nasz Amin wypluł.

* * *

¹⁾ cukierka.

— Staroszku, czy wy macie jeszcze zemby?

— Ni, moje dziecko, już ech wszystkie stracił.

— No, tóż trzymajcie mi ta żymla z wusztem, aż se ta klipa łostrugom.

* *

— Fater, wstońcie, bo już cas! Ło kierej-ech wos to miał łobudzić, ło szóstej cy ło siódmej?

— Ło piątej, ty jancykryście! A wiewa terozki na zygarze?

— Dziepiero łoziem — pado synek.

* *

Hanys przyszoł ze szkoły du dom cały zaślimtany.

— Cóżeś to zaś nabrojił, ty jancykryście? — pyta matka.

— Dyć mie rechtór zeproł...

— A za cóż to?

— Bo ino jo jedyn łodpedzioł na pytanie...

— Cego to? Przeca za to cie chyba pochwolił. A co ci sie to spytoł?

— A dyć spytoł sie mie, wto to wraził ta żaba do kałamorza.

* *

— Starko, zawrzyjcie oczy.

— A czamu to, mój synecku?

— Ano, bo fater wcoraj podali, że jak zawrzecie ocy, to dostaniemy kupa pieniędzy.

* * *

Mały Pietrek coś tam przeskroboł. Tatulek odpion więc poska i wsypał mu pora w najodpowiedniejsze ku temu miejsce. Pietrek beczy. Fater, po ominięciu pierwszej złości, chce uspokoić płaczącego synka.

— No, widzisz Pietrek, nie bec, już nie bec, toć jo ci pszaja, widzisz...

— Ja, przajecie, — pado lkając Pietrek.

— No ja, widzisz, toć ci pszaja, i każdy roz jakieś niegrzeczny i ci wsypać musza, to mie to tyż boli i wierza barziji, niż ciebie.

— Ja... — pado Pietrek z żalem, — boli... ale nie na zadku!

* * *

— Tatulku, czamu wy na głowie ni mocie włosów?

— Ano widzisz, mój synecku, lo tego, że pracuja głową, a na takiej głowie, kiero pracuje, włosy nie rosnom.

— Aha, tóż terozki dziepiero miarkuja, camu mamulka nie majom wąsów.

* * *

Pewien łociec trzymoł łostro swe dzieci. Roz podczas łobiadu łodzywo sie synek:

— Fater!

Łociec wejrzoł surowo i pado:

— Cicho, najduchu, dziecko jeny wtencas łodpowiado, kiej go sie pytajom, a jo sie ciebie ło nic nie pytom...

I je spokojnie dalej. A kiej skończył, pyto synka:

— No i cößeś to chcioł pedzieć?

— Ja, terozki już jest nieskoro, faterku! W szalocie, kieriście jedli, była glizda...

* * *

— Gustlik, czamu to chcesz, żeby ci ino starka dowali lekarstwo?

Gustlik: — No bo starce trzęsom sie ręce i jak mi lejom lekarstwo na łyżeczka, to większo cęść łoźlejom.

* * *

Rodzina zasiadła do łobiadu, ale cekajom jeszce na staroszka, po kierego posłali pięcioletniego Stanika, żeby go przywiódł do stołu. Po chwili wraca Stanik, ale som i pado:

— Staroszek zarozicki przidom, ino se jeszce zemby wrażą do gemby, bo język se już wrazili.

* * *

— Sam przidziesz, najduchu! Jo cie nauc
słuchać! Jestech twój łociec, aboch nie jest
twój łociec?

— Jako to? To mie kożecie zgaduwać?...

* * *

Jeden znany redachtór mo synka bardzo
żywego, kiery ojcu porząd przeszkodził w
pracy, stawiając mu ciągiem najniemożliwsze
pytania. Zniecierpliwiony tatuś zrywa się ze
stołka, pado:

— Przejęty bębnie, jak mi się jeszcze roz ło
coś zapytosz, to uciekna z izby i łobiesza się!

— Tatulku, — woło synek, — to mie weź-
cie ze sobom, jo bych rod chcioł widzieć, jak
sie łobiesicie.

* * *

Pewien łociec doł niegrzecznemu Zeflikowi
w skóra. Skończywszy ta przykro procedura,
pyto:

— A teroz powiedz mi, mój synku, za coś
dostoł baty?

Zeflik rycząc:

— Widzicie fater, jacyście wy som! Przo-
dzi mie pierecie, a potym to sami nie wiecie
ło co.

— Mutterko, — pado mały Hanysek, — naszo ciotka Hażbieta mo tako słodko gęba...

— Słodko padosz, po jakiemu?

— No wiecie, skiż tych piegów, jak na nia patrza, to tak, jakbych jod kołoc z posypkom.

* * *

M a m u l k a: — Gustlicku, ujek idą do dom, idź i dej im pieknie rączka. A jakoż mosz pedzieć, jak gość wychodzi już z izby?

G u s t l i k: — A chwała Panu Bogu.

* * *

Łociec leży se rano w łóżku i czyto gazeta. Jest niedziela, więc aby roz w tygodniu można sie porządnie wylenić. Mały Hanys, taki se pięcioletni śpik, tyż już nie śpi, wlos se do fatra, baraszkuje po pierzynie i animuje łojca do zabawy, prosząc, ażeby się w coś zabawili.

— Ano, — pado łociec, — dobrze, tóż w co sie bydziemy bawili?

— Ano, — pado synek, — zabawimy sie w Rusyjo i w Polska. Joch sie to nauczył łod Gustlika Kwaśnioka.

— No, a jakóż sie to bawi?

— Ano, — pado Hanys, — jo se wleza pod pierzyna, a jak zawołocie „Polska“, to jo głowa wystawia z pierzyny, jak zaś powiecie „Rusyjo“, to jom wartko skryja pod pierzyna.

Zabawa się zaczyna i wszystko szło doskonale, po chwili jednak łociec się zaczytał w gazecie i zapomniał blank zawołać „Polska“. Po pewnej chwili Hanys woła z pod pierzyny:

— Fater, a dyć wolejcie „Polska“, bo sam w Rusyji taki luft, że nie idzie wytrzymać...



Rozdział V.



*Ło buksach-chacharach
i inkszych miglancach*

Kiedyś dawno jeszcze przed wielką wojną, ucząc się artystycznego rzemiosła między innymi i w Berlinie, poznałem tam tak zwanego „Schutzmana“, mieszkając razem z nim w sąsiedztwie, na piątym piętrze czynszowej kamienicy przy „Oranienstrasse“.

Przy bliższem poznaniu okazało się, że to mój ziomek, czyli jak jeszcze padają „Landsmann“, rodem z pod Katowic. Odkrycie to zacieśniło sympatię, jaką siłą faktu ku sobie od pierwszego poznania poculiśmy.

Często, czy to spotykając się z nim na schodach, czy też odwiedzany przez niego w mojej skromnej pracowni, gawędziliśmy sobie wesoło o naszym Śląsku i „Landsmannach“. Czuł się Polakiem i bardzo rod rządził „śląską gwara“. Nazywał się Pikulik.

Otóż razu pewnego przychodzi sąsiad do mnie i wzburzony opowiada o przygodzie, jaka mu się dnia tego zdarzyła. Polecono mu odstawić do sądu jakiegoś bukslika, podejrzanego o różne sprawy natury kryminalnej. (Nazywał się Pistulka.)

— Kiej-ech go tak wiód, — prawi mi Pikulik, — dzierżąc go za ręcyisko, naroz ten buks Pistulka łobroco się do mnie i pado:

„— Panie „wachtmajster“!

— No cegóż zaś? Pieronie, cyś jest małe dziecko, że nie poradysz wytrzymać! Dockiej zarozicki bydziemy na „Gerichcie“.

— Panie „wachmajster“, jo nie ło to, wiedzom — jo bych chcioł cosik inkszego!

— Ja, inkszego... a cegóż to?

— Ano „herr wachmajster“, wiedzom, jo sam mom „marka“, chciołech se kupić żymła i kęs wusztu, bo mom, wiedzom, „Kohldampf“¹⁾, jak sto pieronów. Bydom tacy dobrzi, „herr wachmajster“ i dozwołom, przeca joch tyż jest człowiek!...

— Dzisz, co sie to ślimokowi zaś zachciewo... „Kohldampf“ mo. Joch już uod dwu godzin nic nie mioł w pysku, a nic nie padom. „Dienst jest dienst“ pieronie. Vorwärts marsz i już!...

— Ale cóż, berdyjo zaś mie zacon prosić i molestować, a robił to z takim płacliwym głosem, żech, wiedzom, zmięknół. Padom se: dyć to tyż przeca człowiek!

Prawiechmy szli kole piekarza, tóż padom mu:

— No tóż wlazuj do sklepu i kup se, co ci potrza. Jo sam byda na ciebie cekoł... Ino

¹⁾ głód.

uwiń sie, wartko, wartko... „Dienst je dienst“ pieronie!

Poszoł. Jo cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, cekom trzyćwierci godziny, a tego gizda niema...

— Niema cie... o ty, djobli „lumpie“, już jo se po cia póda. Dockiej!

Wlazuja do sklepu i padom:

— „Mahlzeit, Herr Bäckermeister“! Kaj to jest ten chop, co se to żymy kupował sam.

— Ten chop, — pado piekorz, — ja no, dyć łon już downo poszoł.

— Maryjko święto, poszoł, downo, a kaj?!!

— A cy jo wiem kaj... Poszoł już przed trzyćwierci godziną, sam po zadku, bez te dźwierzec!...

— O, ty pieroński „lumpie“, ty chacharze milioński, ty podciepie jajncykrysta... dockiej, chyca jo cie, aż chycha!

I rychtyk, cego nie robi Pon Bóczek. Ida jo se po połedniu na „wachsztuba“, naroz dziwom sie, a sam lezie Pistulka.

— Halt Pistulka... halt... bo strzela! Ty djobli szymo, ty cygónie zatracony... dom jo ci po zadku uciekać, aż dom!

Chyciłech go za kragiel i „marsch!“ — ale drab!

Idymy, idymy i kiejchmy już niedaleko „wachsztuby“, pado zaś ten gizzd łośkliwy do mnie:

— Panie „wachmajster“, nie gorszom się wiedzom na mnie... jo już nie byda uciekoł... sprawiedliwie. Puszcom mie do piekarza, jo bych se rod żymla kupił... tak mi sie jeść chce jak sto djobłów... Bydom tacy dobrzy i puszcą mie, panie „wachmajster“, jo zarozicki wyleza. Bydom tacy dobrzy!...

No i cóż by łoni na to pedzieli, panie Karlik, aże co? Tacy, widzom, som ludzie.

— Do piekarza chcesz, żryć ci sie zaś chce? — padom do Pistulki. — Ano niema rady, jeść człowiek musi, tóż idź pieronie, kup se żymla, a jo sam na przodku byda czakoł... Na przodku, Pistulka, miarkujesz, cobyś mi zaś bez zadek nie myśłoł uciekać!

— Ni, panie „wachmajster“!

Joch se jednak pomyśłoł: niema tak dobrze, pieronie! myślisz, żech jo taki głupi! Byda jo terazki wachowoł przy dźwierzach na zadku. Już jo cie dopadna, aże dopadna. Dockiej braciszku!

Pistulka wloz do piekarza, a jo mig do dźwierzy na zadku.

Cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, a Pistulki jak niema, tak niema.

— Nie wylazujesz, ślimoku?! Dobrze, już jo se po ciebie póda... nie szkodzi!

Wlazuja do sklepu i padom:

— „Grüss Gott, Herr Bäckermeister“. Da-
jom mi sam ino tego karlusa, co se to żymła
u nich kupił!...

— Karlusa, co se żymła kupił?... — pado
piekorz, — a dyć łon już downo poszoł.

— Maryjko i Józefie święty!... poszoł, kaj,
kieryndy poszoł?...

— No dyć sam, bez te dźwierze na przod-
ku!... O już, wierza, bez trzyćwierci godziny
jak poszoł, „Herr Wachmeister“!

— Ło, ty marcho zatracono, ty cyganie
świński, ty anarchisto przejęty! Dockiej, do-
padna jo cie, aże dopadna!

Za pora dni mom jo służba na „Szpittel-
markcie“; chodza se tam i nazod. Naroz dzi-
wom sie, a sam niedaleko stoi Pistulka i łob-
gryzo se, jakby nigdy nic, jakieś jabłko.

Jo po gibku ze zadku i chap go za kragiel.

— „Malzeit“ Pistulka, jakóż sie to majom?
A może bychmy zaś pošli do piekarza po żym-
ły co? Bydziesz ty miał żymły, pieronie, już

jo ci sie terazki ło lepszy kust postarom, aże postarom! „Vorwärts marsch!“

Kiej tak tego gizda wieda, zaś-echmy przyšli kole tej samej piekarni. I co by łoni, panie Karlik, nie pedzieli. Ten zatracony chachor zaś zacyno skamleć:

— Panie „wachmajster“, jo wiem, żech jo jest taki pieron, kiery ani nie jest wert, że żyje na świecie. Przebocom mi, żech im uciek, ale to mie djoboł skusił. Jo już terazki tego bych nie zrobił. Łoni som fajny chop, panie „wachmajster“! Bydom tacy dobrzy i dozwołom mi se kupić plecionka u piekarza, tak mi się, wiedzom, jeść chce, że nie moga wytrzymać. Puszczom mnie, panie „wachmajster“, przeca to łostatni roz, już jo se terazki posiedza, aże posiedza i nie byda już tak wartko żymły łoglondoł. Puszczom mie po żymły, kochany panie „wachmajster“!!

Fazolonc¹⁾ tak, płakoł jak małe dziecko.

No toć, Boże święty, policyjon tyż mo serce. Tak mi zmiękło, jak „Śmierkejza“²⁾. Padom mu:

— Ty chacharze paskudny, zepsuty, chcesz zaś za błozna robić starego „Schutzmana“. Zaś

¹⁾ bredząc.

²⁾ ser smarzony.

ci sie do piekarza zachciewo, marcho zatracono, i do nieszczęścia chcesz doprowadzić człowieka!... O, już ci się to nie udo, aże nie udo!... Chcesz żyć, dowej mi sam pieniądze na ta plecionka! Już ty mi nie uciecesz ani zadkiem, ani przodkiem. Sam bydziesz stoł przed dźwierzami i bydziesz cekoł, a jo som puda po ta plecionka! Chacharze zatracony, cygónie ty djobelski!...

No i poszoł Pikulik, ale tyż i poszoł Pi-stulka.

Kiery zaś z tych dwóch dostoł order za spryt, tego się niestety nie dowiedziałem.

* * *

A.: — No, dzisiok-ech aby roz zjod toni łobiod.

B.: — A wieraś to zapłacił?

A.: — Sześćdziesiąt groszy!

B.: — A coś to jodł?

A.: — Zupa, befsztik, sznycel i jabłka!

B.: — Za sześćdziesiąt groszy... to, wierza, wszystko musiało być końskie?

A.: — Ni... jabłka ni!!!

* * *

— Wiecie co? Jest nos trzech, urządzimy se do spółki fajno wieczерzo. Jo dom jodło.

— No dobrze. Jo, jo dom picie.

— No, a ty Zeflik?

— Jo wom dom słowo, że byda jodł i pił z apetytem...

* * *

W przedziale wagonu trzeciej klasy siedzi kilku karlusów i jedna pani. Jeden z nich kopci cygara, puszczając, jak z komina, kłęby dymu. Pani oburzona zwraca się do palacza:

— Gdybym była pana żoną, wsypałabym panu do kawy trucizny.

— A jo gdybym był jeich mężem — odpowiada karlus, przyglądając się brzydkiej damie — tobych bez namysłu wypił ta trucizna.

* * *

— Te Zeflik, kiejś taki mądry, to powiedz mi ino, jako jest różnica między mojom babom a radjem?

— A skąd jo ło tem mom wiedzieć, mam-lasie?...

— No widzisz, to jo ci powia: moja baba do godanio nigdy nie potrzebuje nijakiej anteny...

* * *

— Doprowdy, — pado drugi, — że to radjo to jednak jest cudowno rzec.

— A pojakiemu ty to wiesz, kiejś przeca jest głuchy?

— No ja, widzisz, ale widza to po minie mojej starej, kiero, jak słucho radja, to wyglądo jak anioł, zaś kiej godo ze mnom, to sie zaroz w djobła zamienio.

* * *

— Wiesz, robia terozki kuracyjo, ale mie to łokropnie biere. Koždy dzień wstowom ło piątej, potym sie turnuja¹⁾ do szóstyj, potym sie kąpia w zimnej wodzie do siódmej, potym do ósmej leca na szpacyr, potym bez ustanku robia do piątej, zaś potym lotom do szóstyj, potym sie seblykom do naga i do siódmej zaś turnuja. Dziepiero terozki po tym wszystkiem jem tyn pierszy talerz wodzionki.

— Ale cłowieku, jak ty możesz takie życie wytrzymać?

— A dobrze, przeca jo to dziepiero łod jutra zacynom.

* * *

Jakiś wandrus włazi se do cukiernie i wybiero se przy bufecie ciastko z jabłkami. Kielner mu to przynosi, ale wandrus łozmyślił sie i ciastko z jabłkami łoddaje nazod. Za to chce kasek babki z makiem, kiera zjod z apetytem. Potem wstaje, łociero gęba i chce wyjść.

¹⁾ gimnastykuje.

— Hej, panie! — woła kielner. — Łoni nie zapłacili za ta babka z makiem!

— Pojakiemu, — pado wandrus, — cych im nie doł kołoc z jabłkami?

— No ja, ale za kołoc z jabłkami tyż przeca nie zapłacili!

— No, a cych go to zjod?

* * *

— Hanys, a kajżeś to podziół twojego psa, tego fajnego wilka?

— A sprzedół-ech go. Terozki ciężkie casy. Jak słysza, że sie tam kajś cosik ruszo, to som szczekom i bez to, widzisz, szporuja, bo nie musza płacić psiego podatku.

* * *

— Wiesz Zeflik, jak mój majster jest zły, to zarozki mo cerwony pysk.

— To nic, u nos to gorzej. Bo jak nasz majster jest zły, to jo potym mom cerwony pysk...

* * *

— Jako-to, trąbo jedna, nie wiesz, kaj mosz śledziona? No przeca w tym miejscu, kaj mosz zegarek.

— To nie może być...

— Jakże to nie może być? Czamu?

— No, bo jo mom zegarek w „lejamcie“¹⁾!

* * *

— Panocku, bydom tacy dobrzy i pożyczom mi dwadzieścia złotych.

— Czego? Jo ich przeca nie znam!

— To też to! Przeca wto mie zno, to mi nie pożycz!...

* * *

— Cyś ślepy, cy co? kopli mnie w pięta.

— No, to co takiego, przeca nie naskwol²⁾.

— Co takiego, nie naskwol? A jakby tam tak było oko, to by mi go pierona byli wytrzaśli.

* * *

Spotyko Zeflik Karlika.

— Czamu ty tak źle wyglondosz, Karlik?

— A boch bez cołko noc nie społ.

— Co, pierzynie? ty taki porzamy chłop i bez cołko noc-eś szturmował? Nie gańba cie?

— No ja, widzisz, toć-ech chcioł spać, alech sie nie mógł nijak dostać do dom.

— Pojakiemu?

— Ano jak sie mo nieszczęście, to sie je mo. Dyć-ech se, wiesz, kupił w drogeryji u

¹⁾ lombardzie.

²⁾ naumyślnie.

Świdra pomady na porost włosów. Ta pomada-
ech se wraził do „ibercjera“¹⁾ i -ech ło niej
zapomniol. Do tej samej kabzy schował-ech
tyż klucz łod dźwierzy. Klucz wloz do po-
mady i co powiesz? wyjmują gizda, a łon sie
nie chcioł śmieścić do dziurki w dźwierzach.

— Pojakiemu?

— No, bo łod tej pomady wyrosła na tym
kluczu srogo broda.

* * *

— He, panie Kokot! Kiedy mi to wróca
moje pieniądze?

— Na drugi tydzień!

— Ja, na drugi tydzień, to mi łońskiego
tydnia tyż godali.

— No, to im na drugi tydzień tyż tak po-
wia... Joch nie jest taki człowiek, co jeden
tydzień tak pado, a drugi inaczej.

* * *

Do pewnej restauracyji przychodzi Zeflik
Czyżyk i siado se za stołem. Podchodzi kel-
ner. Czyżyk pyto:

— Panie starszy, czy był tu już Fyrtok?

— Ni, nie był.

— Tóż bydom tacy dobrzy i dają mi jeden
czysty srogi i wielkie piwo.

¹⁾ zarzutki.

Po wypiciu nasz Czyżyk woła jeszcze raz o to samo, później jeszcze raz i jeszcze powtórzo to coś z 15 razy. Rezultat był taki, że Czyżyk miał już dość, co, zmiarkowawszy, kelner robi mu awanturę. Wtedy Czyżyk powstaje z krzesła i pado:

— Wiedzą, panie starszy? Fyrtoka sam jeszcze nie było, ale jak przyjdzie, to niech mu pedzą, coby sam za mnie zapłacił... — no i poszoł.

* * *

Dwóch kamratów, ale łoba jakały, poszli se raz do kupy na spacer. Po pewnym czasie jeden z nich wskazuje palcem na wierzch i pado:

— Ty...t...ty Hanys, dzi...dzi...wej sie...sie... na wir...wir...wir...chu le...le..., już pie...e...rona przeleciało.

Zanim ten drugi zmiarkował o co chodzi, nie było już nic widać. Idom se więc dalej i milczą. Jeden patrzy w niebo, zaś drugi na ziemia. Po chwili drugi łodzywo sie do tego pierwszego:

— T...t...ty Ze...e...e...flik, de...e... dej... po... po...zór, bo...bo...bo... sam na...na... zie...e...e... mi le...ży g...g...g..., już eś włoż!

* * *

Dwóch naszych karlusów, Kleofas Skrzot i Stanik Kręciszek, służyli przy „marinerach“ i pojechali okrętem do Ameryki. W Nowym Jorku wstąpili se do jakiejsik bardzo fajnej knajpy. Wyfraczony kelner pyto:

— Co sobie panowie życzą?

Jeden z karlusów zamówił se befsztyk, ten drugi zaś jakiś tam karbinadel. Kiedy im kelner życzone podoł, pyto się go nasz Skrzot, udając strasznie fajnego:

— Panie „ober“, nie mają to soli?

Kelner sięgo do kabzy w galotach, nabiero w paluchy soli i sypie jom Skrzotowi na befsztyk.

— No, a kaj jest pieprz?

— Zarozinki, — pado kelner, sięgo do drugiej kabzy w galotach, nabiero pieprzu i sypie go Skrzotowi na talyrz.

Widząc to Stanik, pado na ucho do Skrzota:

— Te, kamrat, nie żądej od niego casami „zemftu“¹⁾...

* * *

Francik i Manuś, nieodłączni kamraci, pojechali se kiedyś razem do Krakowa. Zachodzą do Hawelki, siadają przy stoliku i coś se zamawiają.

¹⁾ musztardy.

Na stoliku stoi karafka z jakimś tam płynem kolorowym, bardzo apetycznie wyglądającym. Oczywiście była to esencja octowa. Francika ogromnie kusilo, azeby to skosztować, a upolowawszy odpowiednią chwilę, gdzie to ani goście, ani tyż Manuś, zagapiwszy się na jakoś tam frela, nie zwracali na niego uwagi, łapnął flachę i porządnego z niej łyknął chausta. Efekt był taki, że mu się aż zaświeciło, a oczy zaszły łzami.

Manuś widząc to, pyto:

— A czegoż ty płaczesz?

— Ano, widzisz spomniot mi sie kolega, coch z śnim był na froncie, a zabiła go granata, i bez to płacza.

Za chwilę, kiedy znów Francik zagapiony na jakiegoś tam gościa odwrócił uwagę, Manuś łap za flachę i mocno z niej pociągnął. Rezultat był ten sam, co poprzednio u Francika. Francik widząc teraz u Mańka oczy pełne łez, pyto:

— A czegoż ty zaś płacasz?

Na to Manuś:

— Ano płacza, pieronie skiż tego, że wten-czos ta granata ciebie nie zabiła.

* * *

Dwóch karlusów, oba jąkały i zażarci nieprzyjaciele, spotykają się na drodze. Jeden pado do drugiego:

— Cofnij sie, ty pie...e...e...roń...s...s.,ski strzypie!

Na to drugi:

— Pieronie, cy...c...y...y...cy cofniesz to... to sło...o...o...wo na... na...zod?

Pierwszy:

— Głupiś, pieronie, jo...joch jest rod, żech... żech go wy...y...y...ciep!

* * *

— Ty, Hanys, cy już wiesz, że dzisiok rano ło piątej umar nasz przyjociel Zeflik?

— Co ty padosz? No wiesz, mie by sie coś takiego nie mogło zdarzyć, jo ło piątej to jeszcze śpia...

* * *

— Panie komisorzu, joch cosik znod, tóżech sie chcioł spytać, czy to sam u nich musza łoddać?

— No pewnie, że jakieście coś znodli, to musicie oddać. A cóżeście to znodli?

— No, joch panoczku robota znod, tóżbych im jom sam rod łoddoł.

* * *

— Powiedz mi, Zeflik, czemu pies mo zawsze zimno sznupa?

— Camu? Ano, widzisz, dlatego, że pies zawsze dźwigo łogon do góry i jak potym łotwiero pysk, to mo zawsze wielki „cug“¹⁾.

* * *

— Na miłość Boską, człowieku, co wy robicie?

— Ano, chca sie łobiesić.

— No jak sie chcecie łobiesić, to se musicie przeca powróż na kark założyć, a nie naokoło brzucha.

— Ja wiedzą, joch to już próbował, ale jak se powróż na kark założyć, to potem „luftu“ nie moga chycić!

* * *

W jednym miasteczku podchodzi przed „lejamt“²⁾ w nocy jakiś tyrknięty karlus i dzwoni przy bramie tak, że o mało dzwonka nie urwie. Wściekły i przerażony właściciel lombardu otwiera okno i pyta, co sie takiego stało?

— A dyć-ech sam u nich łonegdaj zastawił zegarek, mo numer 2528, bydą tak dobrzy i łobejrzą, kiero terozki może być godzina.

* * *

¹⁾ przeciąg.

²⁾ lombard.

Do przedziału drugiej klasy wchodzi Karlik Mędrok, mo jednak bilet do trzeciej klasy. Naprzeciwko niego siedzi jakiś pan. Kiedy pociąg ruszył, przelatuje niedaleko samolot. Ów pan, widząc to przez okno, powiada do Karlika:

— No niedługo już, a i my polecimy!...

— Pojakiemu? — pado Karlik (po cichutku). — Czy łoni tyż majom bilet do trzeciej klasy?...

* * *

— Pierzyna, po djoble to, jak ida wedle knajpy, to sie nijak nie poradza łoprzyć i musza tam wleść. Zaś jak stamtąd wylazuja, to sie wdycki musza ło coś łoprzyć.

* * *

— Słuchejcie jeno, jak wom sie tak bardzo chce jeść, czamu to nie szukocie se jakiej roboty, co?

— Idom ino, idom! Jak robia, to mi sie przeca dziepiero chce jeść... tuplowanie¹⁾.

* * *

— Powinniście sie wstydzić!... Wiela razy wos spotykom, to zawsze wylazicie z knajpy!

— A cóż to chcieli, żebych nigdy stamtąd nie wylaził?

* * *

¹⁾ podwójnie.

— Ale doprowadź padom wom, chmotrze, iże baba nie jest człowiekiem.

— E, nie berejcie ino, nie berejcie... cza-mużby to baba nie miała być człowiekiem?

— Ano toć możecie się przekonać. Jak zawołacie za chłopem: hej człowieku!... to się łobejrzy, a spróbujcie ino tak samo zawołać na babę, łobocymy, cy wom się łobejrzy...

* * *

Jakiś nasz typowy bukslik, kiery roboty nie znod, bo jej nigdy nie szukał, ulełoł się kajś na fest, tyrpnał ło jedna chałupa, potym ło drugo, zawadził ło jakoś latarnia, kiero mu prawie musiała stoć w drodze, no i gichnął jak długi na chodnik niedaleko przykopy. W oka mgnieniu robi się zbiegowisko. Podchodzi policjant, łapie naszego brata za kragiel i pyto:

— Cóż to sam leżysz na tej ziemi?

Na to bukslik:

— Przebocom, panie „wachtmajster“, jo wiem, piero...ona słuchom, cy tam na dole moje kamraty wagle kopiom.

* * *

— Francik, nie gańba cie to łaźić w takich łachach zmazanych? Dziwej się, pełno na szakiecie klabustrów!

— Cego sie byda wstydził, pieronie... Dyć to nie jest mój „anzug“.

*

*

*

W Katowicach na poczcie przy jednym okienku, kaj to łodbierajom pieniądze, stoi cało raja¹⁾ ludzi, czekając w ogonku załatwienie. Naroz przyłazi jakiś karlus, trzymając w ręcy „postanweisung“ czyli przekaz. Piere sie zarozki na som przodek do łokienka. Jeden ze stojących na zadku łozdrożniony woło:

— Te szyma! Nie wiesz to, kaj krowa mo łogon?

— Toć wiem, — pado karlus. — Jak się na zadku językiem myje, to go mo kole pyska...

*

*

*

Przed japytkom, coś ło trzeciej po północy, jakiś karlus zwoni a zwoni, ledwo zwonka nie urwie. Japytkorz wyłazi z łóżka, zły jak sto djobłów, łotwiero dźwierze i pyto:

— Cego to zaś chcecie?

— Adyc panocku, bydom tak dobrzy i dam mi za dwadzieścia groszy rumianku.

— Cego, rumianku? A nie możecie to po takie głupstwo przyjść rano, co? A nie budzić ludzi po nocy?

¹⁾ rząd.

— Padajom, panocku, rano? Ano dobrze, tóż przyjda rano. Łostanom z Bogiem!...

* * *

Do jednej sławnej wróżki, zdo mi sie, że to było w Królewskiej Hucie, (chocioż wróżek i roztomaitych dochtorek mamy terazki wszandy cało kupa, fajny to bowiem interes dło wróżek, zaś z drugiej strony świadczy, że łoświata i postęp przenika coraz to bardziej umęceno ludzkość. Ano, chwała Bogu!), — otóż do jednej takiej wróżki przychodzi jakiś panoczek i pado:

— Jezdech Władek Moczygemba, chcioł-bych sie łod nich dowiedzieć coś ło mojej przyszłości.

Wróżka biere karty, łośkłodo je i pado:

— Panie Władku Moczygembo. Widza same złe rzecy. Żona jeich urodzi im syna, ale to nie bydzie jeich syn. Jeich geszefta sie blank popsujom. Czeko ich proces ło lichwa i fałszywe bankructwo. Przyjociele ich łośpuszczom i czeko ich gwałtowno śmierć....

Następuje chwila milczenia. Naroz Moczygemba łopciero se pot z czoła i pado:

— Dzięki Bogu! Jak to jednak dobrze być troszka łośtrożnym, jo sie, widzom, nie nazy-

wom Władek Moczygamba, a jeno Kalasanty Tuleja.

Strzelił drzwiami i poszoł.

* * *

Dwóch naszych karlusów, z zawodu monterów, wyjechało na robotę do Berlina. Przepracowawszy tam tydzień i otrzymawszy zapłatę, chcieli sobie troszka poszturmować. Idąc tak sobie i rozglądając, gdzieby se wstąpić, czytają nad pewnym sklepem napis „Manicure“. Zaciekawieni wchodzą do środka, gdzie ich odrazu posadzono na krzeselku, no i jakoś gryfno dziółszka z bubikopfe oporządziła im pazury, obstrzygła je, wydropała żałoba, namazała i wypolerowała. Szpas ten kosztował trzy marki. Trocha im żół było pieniędzy, no, ale zaspokoił ciekawość, a zato trzeba w Berlinie płacić. Nie uszli zbyt daleko, a tu znowu czytają „Pedicure“.

— Pieronie Hanys, co zaś to może być takiego? Póđźmy, wszystko jedno, niech kosztuje wola chce, ale łoboczyć trzeba.

Włazą do sklepu, a tu, jak w poprzednim, sadzają ich na fotelu, ściepują im buty, no i robi się to samo z palcyskami, ino że na nogach. Ani się spostrzegli, kiedy za ten szpas zaś

musieli dać po trzy marki. Wiedzą teraz, co to jest ten „pedicure“.

Idą dalej, idą, aż doszli do teatru (opery), na którym łozwieszono afisze „Walküre“. Zdębieli. Naroz pado Zeflik:

— Hanys, pieronie, uciekejmy! Manicure i pedicure to już wiemy, na co to jest, ale „Walküre“ to już pierzyna nie wiem, coby nom sam jeszcze wypucowali?

* * *

Na pewnej małej stacyjce na Śląsku pociąg pospieszny zatrzymuje się tylko minutę. Do kierownika pociągu podbiega Richard Musioł, który błądy wypadł z jednego z wagonów i prosi o pięciominutowy postój, ponieważ ma boleści i musi wyjść, a w wagonie niema potrzebnej ku temu ubikacji. Na to oświadcza kierownik pociągu, że się pod żadnym warunkiem na to nie może zgodzić i pociąg musi zaraz odjechać.

— No, to bydziemy widzieć, cy bydzie czekół, czy nie bydzie, — odpowiada Musioł.

— No, zobaczymy, — skrzeczy grubelacko kierownik i daje znak do odejścia pociągu.

Ale pociąg nie rusza. Kierownik daje jeszcze raz znak i gwiżdże przeciągle. Pociąg nie

rusza. Wpada więc z pyskiem do maszyny i pyta dlaczego nie jedzie. Na to maszynista:

— Bo nie moga, tam przed lokomotywą siedzi jakiś pieron....

* * *

Do Katowic przyjeżdża z pod Pszczyny jakiś gospodarz, który chce odwiedzić krewnego, mieszkającego przy placu Miarki. Podchodzi do policjanta i pyto:

— Przeboczom, kaj sam jest plac Miarki?

— A dyć stojom na nim.

— Hm, pierona... to też nic dziwnego, że łaża i łaża, a znaleźć go nie moga.

* * *

Hanys Kintara przyszoł z urlopu w nocy do „Szlafhauzu“ i budzi Gustlika Macalika, z kierym śpi w jednyj izbie. Gustlik jest z tej samej wsi, co Hanys. Hanys tyrpie Gustlika i pado:

— Gustlik, śpisz to?

— Śpia, a co?

— Ano Truda kozała cie pozdrowić.

— Dziękują bardzo!

Po pięciu minutach Hanys zaś woło na Gustlika:

— Gustlik, śpisz to?

— Cego mie, pieronie, porząd budzis aże budzis?

— No, bo Truda kosała cie pozdrowić.

— A dyć-eś mi to, mazoku, już pedzioł, a jak mie jeszcze, pierzynie, roz łobudzisz, to cie tak mazna w ten kichol, że mie popamiętosz ruski miesionc.

— Ady zaś tak źle nie bydzie, Gustlik. Jo cię jeszcze fórt byda budził, boć cie Truda prze-ca kosała pozdrowić tysionc razy...

* * *

— Hanys, co byś woloł: pożyczyć se tysiąc złotych, czy jakbych ci podarowoł dziewięćset?

— Mamlasie, toć pewne, że wola, jakbyś mi doł dziewięćset!

— Widzisz trombo! A nie żol ci tej setki?

* * *

K a r l i k (najmując izba): — A wiela im to, panuchno płacił za ta izba na miesionc downiejszy kwaternik?

G o s p o d y n i: — Ten chachor... ani fenika nigdy!...

K a r l i k: — No tóż dobrze... Biera ta izba na tych samych warunkach!

* * *

— Co to, żąb ich tak boli? A dyć jo bych go zarożicki wyrwoł, jakby to był mój.

— No, dyć i jo bych go wyrwoł, jakby to był jeich.

* * *

Rzecz dzieje sie kole jakiś rzeki. Stojom następujące łosoby: łociec, mały zmocony synek, kierego przed chwilą wyciągnęli z wody, no i jakiś obcy.

Ojciec: — To łoni wyciągnęli mojego synka z wody?

Obcy: — Tak to jo, panoczku.

Ojciec (groźnie): — A kaj pieronie jest copka, co?...

* * *

W nocy ło godzinie trzeciej jakiś karlus łazi na czworakach po ulicy. Podchodzi drugi, jego kamrat i pyto:

— Hanys, pierzynie, cyś łogłupioł? A cóż ty sam robisz?

— Jo? A dyć szukom sto złotych!...

— Cego? Sto złotych?

— No dyć!

— A to ci bracie pomagaa...

Po ćwierć godzinie:

— Hanys!

— A cego?

— A cyś je sam „sicher“ stracił?

— Pieronie, przeca jo nie padoł, żech je stracił, jeno że ich szukom!...

* * *

H a n y s, spotkawszy Gustlika po roku niewidzenia go: — Kajś to tak długo bywoł?

G u s t l i k: — Dopiero coch rok odsiedziol.

H a n y s: — A za cóż to?

G u s t l i k: — Podkowach wzion jednemu gospodorzowi.

H a n y s: — Toś za to aż rok dostoł?

G u s t l i k: — No, bo sie tak głupio zdarzyło, że z tą podkową był dokupy koń, wiesz!

* * *

Gustlik z Hanysem idą przez Królewską Hutę i widzą w jednym oknie tabliczkę, na której stoi napisano: „Kräftiger Mittagstisch“¹⁾. Jak to Gustlik przeczytał, rzekł do Hanysa:

— Słuchej jeno Hanys, jo w to nie wierza!

Na to Hanys:

— Możemy się przekonać!

Weszli do restauracji i po zamówieniu piwa rzekł Gustlik do restauratora:

— Przeboczom, jest to ten stół, na którym sie je obiad?

¹⁾ w dosłownem tłumaczeniu: mocny stół (znaczy: pożywny obiad).

Gdy gospodarz to potwierdził, uderzył Gustlik z całej siły w róg stołu tak, że kawał tegoż uleciał.

— Cóż ty faronie, — krzyknął Gustlik, — ludzi porządnych robisz za błozna! Pisesz w łoknie „Kräftiger Mittagstisch“, a tyła coch w to chacharstwo rypnął, tocz zaroz kęs utrzasił...

* * *

— To pono w Katowicach majom budować taki dom ło dwudziestu sztokach?

— Piernika! Na tym gelyndrze¹⁾ przy schodach bych chcioł jechać z wjyrchu nadół!

* * *

Jakiś psiarek siedzi se w parku na ławce, obok niego jakoś frela z pięknym białym pudlem. Raz, dwa, znajomość zawarta; psiarek zwraca owej freli uwagę, że ten pies by jeszcze był piękniejszy, gdyby go się odpowiednio ostrzygło i że on by to mógł zarozki zrobić.

Frela odpowiada, że nie mo nic przeciwko temu. Psiarek zabiero sie do roboty i oporządził pudła jak się patrzy. Po skończonej robocie żąda 10 złotych. Na to frela:

¹⁾ poręczy.

— Ani myśla płacić, przeca to nie mój pies...

* * *

W pewnem państewku zaangażowano nowego kata. Jegomośę ten, nim został katem, był dawniej oprawcą, potem golaczem, w każdym razie umiał się z ostremi narzędziami doskonale obchodzić. Kiedy mu więc pierwszego oddano skazańca, którego miał ściąć, zauważył, że to jakiś znajomy, nie może sobie jednak nijak przypomnieć, kiedy go poznał. Pyta więc skazanego:

— Ja pana skądś znam?

Na to skazany:

— To, wiedzą, bardzo możliwe, oni mnie dawniej pora razy golili, ale ściąć, to mnie dopiero mają pierszy raz...

* * *

Spotyka Karlik Zeflika.

— Karlik, faronie jeden, pojakiemu ty do roboty nie chodzisz?

— Widzisz, do kina ci chodza.

— Jakto, tak każdy dzień chodzisz?

— A dyć każdy dzień. Już ten film dowali w jednym kinie trzy razy, a jo fórt chodza i jeszcze byda chodził do innych kinów.

— A cy wdycki na ten som film?

— No toć na ten som.

— A co ty tam widzisz?

— Tóż słuchej! Tam jest tako gryfno dziolcha, co sie seblyko do naga i prawie jak już koszula zciepuje, to ci jedzie pociąg i już nic nie widzisz.

— No, to co więcej chcesz?

— Widzisz Zeflik! Przeca ten pieroński pociąg, wierza, roz przijdzie nieskorzej!...

* * *

Hanys i Gustlik, oba bezrobotni łażom po fechcie. Roz przyśli do jakigoś panocka i proszom pięknie ło wsparcie. Toć ło ba som dość ło btargani i corni. Panocek ten dziwo sie na ło buch i pado zły:

— Nie byda z fami godoł, dopóki nie zwekslujecie koszule — i mówiąc to, strzelół dźwierzami.

Hanys i Gustlik stoją na schodach ździwieni.

— Jo ci terozki już blank nie poradza spokopić, co temu pieronowi z tego przyjdzie, jak jo ło bleca twoja koszula, a ty moja!

* * *

Do golarza wchodzi jakiś panoczek, a chcąc być dowcipnym, pyto:

— Panie golacz, strzygą łoni też psy?

— O ja, panoczku, — pado golacz, — proszę siednom se, zaroz przyjdom dran...

* * *

— Te Hanys, jako jest różnica między zofą a mrowiskiem?

— Nie wiem.

— No, pierzynie głupi, siednij se na mrowisku, to sie dowiesz.

* * *

— Żałuja, panie Kichol, nie moga im nic pożyczyć! Musza sie starać o moich biednych rodziców.

— Ja? A jeich rodzice padali mi, że nie dostają od nich ani grosika.

— No, widzą! Jeśli nie dom nic moim ojcom, to im byda dowoł?

* * *

Jeden z naszych Ślązaków, nazwiskiem Hanys Lelek, nie mogąc nikaj w kraju dostać roboty, wywendrowoł na „szyfie“, kaj sie zgłosil za „hajcera“, do Ameryki. Myśloł se boroczek: jak sie ino dostana do tego kraju, kaj dolary rosna na stromach, to mi już bieda nic nie zrobi... Ale dostać sie do Ameryki, to jeszcze nie wszystko, o czem sie mioł nasz

Hanys przyleżytość¹⁾) przekonać. W tej obiecanej ziemi dolarów jest bezrobotnych jeszcze więcej, niż u nas w Polsce; tóż nasz Hanys łąził i łąził z dnia na dzień, łód rana do wieczora i szukał tej roboty. Nareszcie pewnego dnia szczęście mu się uśmiechnęło i dostał robotę w jakimś wędrownym cyrkusie. Bez dzień pomagał ustawiać ten cyrkus. Zaś na wieczór zawołał go dyrektor tego cyrkuśu do siebie, kozoł mu wdzioć tako skóra od niedźwiedzia. Potem zawiedli go na arena i kozoali mu sie ringować²⁾) z prowdziwym niedźwiedziem. Hanys, kiery zmiarkowoł, co sie święci, struchłoł. Cofać sie z areny było go gańba, bo to był chłop z naszej wiary. Zaś jak łostanie, pewny był, że go ta bestyja rozszarpie... Więc kiedy się ta walka zaczyno, zbliżył sie nasz Hanys po leku ku niedźwiedziowi i rzyko „Ojcie nasz“ i t. d. W tym podskakuje niedźwiedź ku niemu i pado mu do ucha:

— Pieronie głupi, a dyć sie nie bój, bo jo tyż ze Śląska...

*

*

*

Zeflik Kotyrba idzie se w Parku Kościuszki i trzymo pod pachą pieska łobrócone go py-

¹⁾ możliwość.

²⁾ mocować.

skiem ku zadku, zaś łogonem na przodek. Spotyko go Gustlik Macalik, jego kamrat i pado:

— Cóż to, pierzynie, mosz za bakana, a wciepnijże tego gizda do stawu, bo to nic wert.

Na to Zeflik:

— Tyś głupi, to jest rasowy pies, można na nim zarobić.

— Pieronie! A cóż to za rasa?

— Co za rasa? No to jest największo rasa, bo to jest „Suki syn“.

— A czamu go tak łobróciłeś zadkiem na przodek?

— A bo wiesz, pierzynie, bo łon mo mały feler, ale nie padej tego nikomu... Wiesz, cuć mu z pyska....

* * *

Ten sam Zeflik Kotyrba i Gustlik Macalik poszli sobie kiedyś na „wander“. Przyszli do większego miasta, ale im sie jakoś nie widziało, ufechtować nic nie mogli i tak głodni i pełni smutku tapiają sobie nad brzegiem rzeki i utyskują nad swoim losem.

— Pieronie, Zeflik, albo sie utopić, abo co, bo ci tego już nie wytrzymom.

— No to sie utop, nicht ci tego nie broni, — pado Zeflik.

Naroz Zeflik aż podskoczył i pado do kam-rata:

— Gustlik, som pieronie pieniądze, cy-toj! — i mówiąc to wskazuje tabliczkę, stojącą niedaleko brzegu, na której widnieje napis: „Za wyratowanie tonącego płaci magistrat pięćdzieciąt złotych.“

Na to Gustlik:

— To cóż z tego, kaj mosz topielca?

— No, ty głupieloku! — pado Zeflik. — Ty bydziesz sie topił, bydziesz ryczoł „retong“, a jo cie z wody wyciągna.

— Kiej nie poradza pływać.

— To nic. — pado Zeflik. — Jo trocha poradza i jakoś cie tam z wody wyciągna, nie bój sie! Pięćdzieciąt złotych „zicher“, kieremi sie po bratersku podzielimy i bieda sie skończy.

Jak uradzili, tak tyż zrobili. Gustlik wchodzi na jakoś tam nadbrzeżno kępka i nie namyślając sie wiele, wskakuje do wody. Woda jednak w tym miejscu głęboka, ciągnie Gustlika w dół. Biedak więc zaczyna naprawdę tonąć i z wywalonemi oczami wrzeszczy:

— Zeflik, topia się... ratuj!

Tymczasem Zeflik stoi najspokojniej przed tablicą z wlepionemi nań oczami i ani myśli

pomóc kamratowi. Po wielkich usiłowaniach pół żywemu Gustlikowi udało się jakoś wygramolić z wody. Podchodzi więc do Zeflika i pado:

— Czamuś mie nie ratował, tak jek-echmy to obgodali, o mało co, a byłbych sie utopił. To kamrat, przyjociel tak robi, co?... To świ-
nia by porządniej postąpiła, ty djobli soroniu,
ty! Za to cie tak ino maznać w pysk, żebyś
zaraz do tej wody wleciół.

Na to Zeflik:

— No, cóż sie tak łozdzierosz? Dyć inoch
chcioł twojego dobra i tyła.

— Jak to dobra? — pyto Gustlik.

— Ano, joch chcioł, byśmy więcej zarobili.
Dyć cytej na tej tablicy! Sam stoi: „Za wy-
ratowanie tonącego płaci Magistrat 50 złotych.
Za wyciągnięcie trupa płaci się 100 złotych.“
No tóż powiedz, chciołech twoja krzywda?
I cy mom głowa na karku?...

* *

Richard do Alojza: — Pieronie, Alojs, ale
źle wyglądosz!

Alojs: — Nie dziwota, jak człowiek musi
przy monterach charować od rana do wie-
czora.

Richard: — A długo to tam już robisz?

Alojs: — Po niedzieli mom zacząć...

* * *

Pewien rzezimieszek ucieka przed pości-
giem. Naraz widzi przed sobą dość szeroka
rzeczkę, której przeskoczyć nie może. Po dru-
giej stronie rośnie sobie pochyła wierzba, któ-
ra swemi gałąskami sięga aż do rzeki. Kiedy
trwoga — to do Boga, modli się więc bukslik:

— Pon Bóczku, pomóż mi, żebych się na
ta wierzba dostał, aby mnie nie złapali.

Potem skoczył i szczęśliwie uchwycił się
gałęzi. Wisząc nad wodą, powiada do siebie:

— Kiebych był wiedział, że tak leko skocza
na ta wierzba, to bych wcale nie był rzykoł...

Ledwo tak pomyślał, a tu gałąź się urwała
i bukslik bęc do wody. Kiedy się na brzeg
wygramolił, narzeko:

— Pon Bóczku, ty tyż ani ździebko śpasu
nie rozumiesz...

* * *

Hanys Cyganik przychodzi troszka zawi-
ny na policyjo i pado do dyżurującego komi-
sarza:

— Przebocom, panie „wachmajster“, mie
dzisiok łokradli, jakiech jechoł w „strasbance“.

— I cóż im to ukrod ten złodziej?

— A dyć porwoł mi pieron siedemtrzydzieści kasków.

— Aż siedemtrzydzieści... farona kandego, a cóż to było? godajom!

— A dyć sześćtrzydzieści kartów do grania i „frópenzieher“¹⁾).

* * *

— Wiesz Hanys, kupilech ci se psa, wilka, a taki ci do mnie przywiązany, że za nikim nie pódzie ino za mną, łód nikogo żarcło nie weźmie, ino łodymnie, nikogo ci nie użre, ino mnie....

* * *

— Karlik, weź mycka i idź do sklepu! Kupisz wusztu, szynki, szwajcarskiej kejzy, styry flachy koniaku, dwadzieścia flaszek piwa cornego, dziesięć cygor, no i kup żymeł.

— Fater, a cy to wszystko mom wziąć na bórg?

— No nie, żymły możesz zapłacić.

* * *

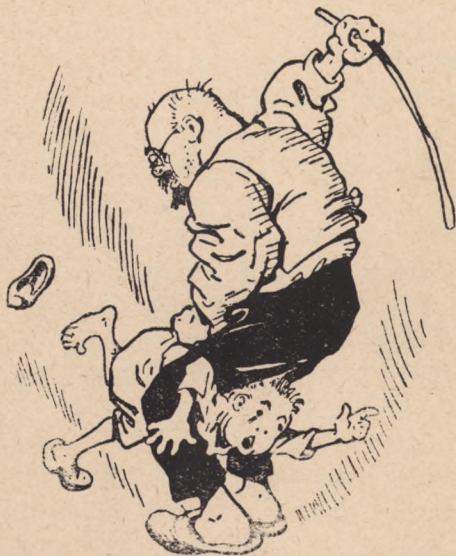
— Zeflik, powiedz mi, jako jest różnica między kozłem a dyrektorem banku?

¹⁾ korkociąg.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?... toś tromba. Widzisz, ko-
ziel wdycki sam trefi do kozy, zaś dyrektora
banku trza tam dziepiero zawieźć.

Rozdział VI.



*Ło szkole, szkolorzach
i rectorach*

Pierwsza spowiedź.

(Nie-bojka.)

Hanys Kręcik małym se był śpikiem, ale zato srogim „huncwotem“. Wszandy go było pełno: w szkole i kościele zawsze, berdyjo, stoł na zadku, zaś przy zgóbieciu¹⁾ na samym przodku. Przy pocierzu zawsze społ, przy robocie morzł, jeny przy misie to sie berdyjo pocił. Zdrowie służyło mu, zwyczajnie jak wszystkim wielkim gałganom, papla srogo i cerwiono. Na okrągłym wielkim łebie rosła szopa, jak łociecka słomy do straszynio wróbli. Jedna wiecha na lewo, drugo na prawo, jedna sam, drugo tam, zaś wele uszów styrcały dwie mańsze łociepeczki, a patrząc na nie, każdego świędzało ręcyisko, żeby za nie pociągnąć. Nojwięcej też używoł se na nich pon rechtór, kie-ry pokusie nigdy nie poradził się przeciwstawić.

Dzisiok dziwny i paskudny był dzień. Hanys Kręcik miał iść do pierwszej spowiedzi. Najstraszniejszą chwilą w jego życiu miał być pierwszy rachunek sumienia. Muter, idąc rano ze mszy, kupili Hanyskowi w sklepie u Sollmana srogo kartka papieru biołego i „blaj-sztyft“.

¹⁾ dokazywaniu.

— Hanys!... — padali muterka, — siednij se sam pięknie przy stole, gęba łobróć sam, na łobrozek, do Pana Jezusa. Weź se ten papier, myśla, że ci styknie, i zrób se po lekutku i z łozwogom rachunek sumienio. Żebyś zaś nie nie zapomniol, napisz se wszystkie grzychy, te ciężkie przódzi, a potym te mańsze. Siedź, a nie wierć sie, wiesz, że popołudniu mosz iść do pierwszej świętej spowiedzi.

Padajonc to muterka, poszli do kuchni zająć się gospodarstwem, cichutko jak zwyczajnie, a to skiż tego, żeby Hanyska w skupieniu nie szterować.

Tóż siedzi nasz Hanysek, poprowadzie nie siedzi, a zdo sie przylepiony do kanty stołka. To abo gryzie koniec „blajszyfta“, abo tyż, jak mu sie jaki srogi grzech spomni, chyto sie ręcykiem za kudły.

Łod czasu do czasu przeżyżdżo mańkutem wartko bez stół, a nigdy po darmo. Po każdym takim ruchu wyciągo między palcyskami jedna abo więcej much, ale dzisiok łozgnioto im jeny łeby; skrzydeł, ani szłapów nie wyrwywo, a to skuli tej spowiedzi, do kierej przepuść musi. Kiej se tak w duchu wspomino swoje pora przeżytych łot i wszystkie gałgaństwa i niecnoty, to go aż mory biją, aż mu sie

ćma robi w łocach. A sam jeszcze zygor, jakby na złość, porząd na ścianie pado: doc-kiej, doc-kiej, doc-kiej! Nojbardziej to go mierzi ten grzych z cornym kotem łod księdza fardoża, kierego na jesień chycił, udusił a potem w chlywiku łobiesił.

— Ano jak ty mnie, tak jo tobie!

Bo trza wom wiedzieć, że nasz Hanysek bardzo przoł ptokom, miol ich tyż poranoście, kiere se nie bez trudu przeca chycił do ślaczka. Roz widziol, jak mu jakieś kocisko porwało ulubionego czyza. Od tego czasu zaprzysięgnął wszystkim kotom śmierć. Nojgorzej to zaś było, kiej po zamordowaniu fardożowego kota, skrył sie Hanysek za stodoła i czekol, aż gospodyni łod księżoszka pódzie do chlywika futrować kury. Rozpacz i złość, jako się po ujrzeniu zabitego kota objawiła na tustej gębie gospodyni, napełniła naszego Hanyska nojwiększom rozkoszom. No, ale to przeca grzych tuplowany!

Tóż pisze Hanysek: ...Staremu kopidołowi wraził do fajfki jakieś kudły, kiere znod na placu... Gospodorzowi Cypionce, jak wióz na furze żyto do młynna, przerzwał nożym dwa miechy.... Starej komornicy Pytlinej wytrzas ślojdrom dwie szyby... Swojej muterce (kiero

była wdowom i ciężko na utrzymanie swoje i Hanyska musiała pracować) prawie codziennie wyzyroł z gorka mlyko i to bez ździebło...

Pisoł tak i pisoł, co jeden grzych to większy, co jedno gałgaństwo większe łod drugiego.

Toć z tym ździebłem, dziepiero zaś wcoraj to zrobił — a wiecie jak? Wroził do gorka bez kożuch słomka, kożuch łostoł nie naruszony, a mlyko wyzyroł. Muterka wierzyli, że to zaiste jakieś czary, abo urok zmory, kiero jom łod czasu do czasu w nocy gniótł. Ani jej bez głowa nie przeszło, że to sprowka tego jancykrysta Hanysa. Jeszcze wiecie co jej radził:

— A dyć, muter, weźcie se święcono woda i pokropcie ten gorcek, to sie wierza łodmieni.

O ja, ludkowie, najdunch zatracony to łon już tam był, ten nasz Hanysek. Kiej już tak tych roztomaitych kąsków spisoł — bez trzydzieści, nie poradził se już więcej spomnieć. Tóż wzion i przecytoł se ta litanijo coś bez łoziem razy, to skuli wprawdy, żeby nic nie zaboczył i wartko spowiedź odbył, i nie łozdroźnił bez stękanie księdza fardoża, miarkując z góry, jak się to księżoszek z takiego grzyznika jak łon, radować bydom.

Potym Hanysek podpisał jeszcze pod tą swoją grzyszno litanijo swoje miano i przezwisko, kartecka pięknie złożył i wraził ją se do kabzy.

Na łobiod dali muterka zacierki na samym mlyku, ale mu jakoś nie podłaziło. Zaiste mlyko przypominało mu ten grzych ze słomką. Ba, i mutrze nie mógł wejrzyć do łoców, toć nosił teroz w kabzie na piśmie, włosnym ręcyskiem napisane, jaki to z śniego „huncwot“.

— No, wiałaś to tam tych grzychów naskryfłół, Hanys? — pytali muterka.

— Ujdzie muter, nima tak źle.

Po jodle zabrał sie Hanys do szkoły, a stamtąd z inkszymi syncyskami poszół do kościoła.

Ksiądz-„faroż“ siedzieli już w słuchatelnicy i zarozki też mali grzysznicy zacyni jeden po drugim w skrusze i z pewnym lękiem podchodzić do Bożego trybunału, opuszczając go po odbytej spowiedzi z ulgą i lekkością. Szło to szykownie i wartko, jak nieprzymierzając po maśle. Nie dziwota, syncyska prawie że każdy grzychy miał napisane na papierze, to tyż roz dwa łodcytoł je jakby z książki. Toć ksiądz faroż sami tego naucyli na katejmusku, radząc:

— Ino se wszystkie grzychy spiszcie, chłopcy, żeby nic nie zapomnieć. Łobocycie, jak wam to bydzie lekutko na sumieniu, jak grzychy dokumentnie wyznocie i za nie żałować bydziecie. Tego nie idzie wcale łopędzieć, takie coś, to sie ino cuje.

Ale naszymu Hanyskowi jakoś ciężko szło z tym żolem za grzychy i postanowieniem poprawy. Widać, jeszcze go ciągiem zły duch kusił.

Tego siwego kota — myśli se — kierego terozki mo gospodyni, chciołbych dopaść, zarozicki gizda łobiesza. Jutro se go musza upasować.

Ale nim sie boroczek spostrzegł, już przy słuchatelniczy na niego przyszła kolejka. Nogi mu dygotały, kiej uklęknył kole krotki. Ksiądz faroż łotworzyli łokienko na znak, że Hanys mo zacząć spowiedź. Ten zaś nic, ino szuko i szuko ręcyskami po kabzach. Księżoszek zniecierpliwieni padają:

— No, czamu nie zaczynosz? Godej: „Jo ubogi grzyszny człowiek...”

Ale Hanys nic, czerwony jak rak, poczon przewrocać w kabzach, patrząc zakłopotany to sam, to tam. Wreszcie ze łzą w głosie pado:

— Prosza łojca duchownego, joch stracił moje grzychy.

— Cego to, grzychy-eś stracił... widzisz, ty gałganie, no i jakóż teraz bydzie?

Ale dobry ksiądz-faróż jakoś zaradzili, no i zacznij Hanyskowi w wyznawaniu grzychów dopomagać.

Tóż, noprzodzi przyszła sprawa z tym łobieszonym kotem gospodyni, potem te dziury w miechach, a potem już po porządku wyśpiewoł Hanysek jeden grzych po drugim, nie zaboczywszy nic. Toć jedno przestępstwo prawie było podobne do drugiego.

Kiej skończył, czekał terazki pokuty bez jakiegokolwiek obawy. Boć cóż tyż księżoszek mieli robić, przeca wrzeszczać głośno nie mogli, boć ucyli na katejmusku ło tajemnicy świętej spowiedzi. Za uszy, ani za kudły tyż go wytargać nie mogli, bo chroniła go od tego krotka w łokienku, kierej praktyczność pod tym względem dziepiero terazki podziwiol.

A potym księżoszek wcale nie byli tacy źli, jakby sie zdowało. Jeno skiż tego kota, to się pytali:

— A czyś go wierza męczył?

— Ni, prosza ojca duchownego, jenych go łobiesił.

Nic na to księżoszek nie padali, a nawet zdawało się Hanyskowi, że się troszycka pod nosem uśmiechnyli.

— Ło, tymu siwymu gizardowi tyż nie podarują, tyż go łobiesza, jo już mom wprawa w tym — myślał se Hanys, kiej, po otrzymaniu pokuty, odchodził od suchatelnicy.

Wyszedłszy z kościoła czuł nasz Hanysek ogromnom lekkość na duszy, aż se podskoczył z rozkoszy. Ale nim szłapami dotknął ziemi, już go chtoś ze zadku dopodł za kragiel. Patrzy, a to gospodyni od księdza faroża, chyciła go i zawłykla ze złością w ślypiach do szopy. Tam chyciła kawoł drewna i nuż obkładać Hanysa.

— Tóżeś to ty mi, chacharze, tego kota zakatrupił... ty? A mosz... a mosz... a mosz!

Hanys przeca nicego nie żadoł, a gospodyni ino dowo i dowo bez ustanku:

— A mosz!... a mosz!...

Oj! ryczoł tyż to, boroczek, ryczoł, aż sie kury wystraszyły i jak głupie na wszystkie strony zaczyny uciekać.

— Już nie byda... już nie byda... już nie byda... — skrzeczoł Hanysek.

W ten sposób dziepiero gospodyni obudziła w Hanysie prowdziwy żol za grzychy i postanowienie poprawy.

Nareszcie gospodyni zmęczono, ciepnyła drewnym do szopy, a Hanysem ze szopy. Uciekoł tyż to, uciekoł, aż się kurzyło za nim, a jakby na urągowisko usłyszoł z dachu wesole miałczynie burego kota. Ale ło wieszaniu go, już biedny Hanysek nie myśłoł. W łepetynie jego kręciła się ino jedna myśl: wto jej pedzioł ło tym kocie? Toć nieroz przeżywoł na gospodyni pocichu „czarownica“, a dzisiejsze lejty utwierdziły go w przekonaniu, że nią baba jest.

Kiej ze zbolałym puklem przyszoł du dom, muterka czekali już na niego przed progiem. Ręce trzymali na zadku, trzymając cosik, co nie koždy potrzebowoł widzieć.

— No, tóżeś przyszoł, mój syneczku? — przywitali go muterka jakimś dziwnym głosem. — Tóż pódź do izby, pódź!

W izbie dziepiero łoboczył Hanys, co to muter kryli za sobą. Była to blank nowo trzcina...

— Dockiej ty jancykryście, już jo cie teraz poświeća, jo ci pokoża mlyko, już go terozki nie bydzie ubywało, aże nie bydzie!...

I muterka zabrali się do Hanyska dokumentnie, oj zabrali. Pukiel oszczędzali, jakby wiedząc, że tam już wlaźło, co wleźć miało. Ale za to pora coli niżej... flastrowali, a flastrowali z wprawom, jako jeno majom nasze mamulki na Śląsku.

Hanys ślimtając i trzymając się za galoty, myśli: Tóż to to jest ta tajemnica świętej spowiedzi i to, co się po niej cuje...

Wyrwawszy się muterce, ino roz prasknył do dźwierzy i na dwór. Polecioł na niedaleko łącka i położył się boroczek, zbity i zmaltretowany, do trowy, niedaleko płota. Usnął z wielkiej turbacyji. Naroz łobudziło go jakieś bolesne darcie w głowie. Nie myślcie, że to z jakiegoś było zaziębienio... o nie, powód to był blank inkszy.

Siodłok Cypionka klęczoł z drugiej strony sztachetów, przeraził rencysko bez szpara i trzymoł Hanysa za kudły. Potym dopod go za uszy i jak klyscami ciągnął, jakby chcioł wielki łeb Hanysa przeciągnąć bez wąsko szpara w sztachetach. Hanys skrzeczłoł:

— Muter, moje uszy... moje uszy!

Cypionka zaś śmiejąc się, padoł:

— Muter, moje miechy... — i ani myśłoł popuścić.

Kiedy jednak po pewnym czasie puścił łeb, uszy Hanyska wyglądały, jakby je chto łomowało modrom tintom¹⁾). Uciekając po zapłociu do dom, trefił na swoje nieszczęście kopidoła, widać, że tam na niego wachował. Oj, ździelił go tyż to, ździelił styliskiem łod łopaty bez zbolały zadek, aż mu się w łoczach zaświeciło.

— Mosz, ty djobli śpiku zielony, za te kudły we fajfce... mosz... a mosz!

Tak boroka nigdy jeszcze nie sprano, jak dzisiok. I to ksiądz faroż łosprowiali na katejmusku, jak sie to każdy dobrze i lekko czuje po pierwszej świętej spowiedzi.

Nazajutrz biedny nasz Hanysek, szykując się do Stołu Pańskiego, ledwie trzymał się na nogach, tak go wszystko bolało i poliło. Do tego przyłączył się jakiś dziwny lęk, — porząd mu sie zdawało, że chyto go Cypionka za kudły, abo tyż czuł mutrzyna trzcina na galotach.

Po Komunji świętej przytąpoł Hanysek razym do chałupy, kaj polekutku powróciła mu zaś radość do życio, zwyczajnie, jak to u młodych. Muterlicka nie czekali już dzisiok ze trzcinką, ale naszykowali dobrej kawy i srogikęs kołocą z posypkom, kiery Hanys spucował, nie łostowiając ani kruszynki. Jeny że stoł bo-

¹⁾ atramentem.

rok przy jodle i choć go mamulka namowiali, żeby se siednył, nie chcioł ani rusz. Widać to wcorajsze święcenie mlyka jeszcze siedziało na zadku.

Kiej po pewnym czasie spuchnięte uszy Hanysa zaczynny wracać do pierwotnego wyglądu, a i ta część pod plecyma wydobrzała, Hanys polekutku wrócił też zaś do rozumu. Zaczął myśleć i sie zastanawiać i terozki dopiero zrozumioł, że to spisane grzechy, kiere stracił, były powodem jego nieszczęście i udręki.

A rzecz miała sie tak: Francik Smykała, Hanysa nojlepszy przyjociel, znod ta kartka z jego grzychami, a jako dobry kamrat polecioł do wszystkich poszkodowanych i grzychy Hanysa zdradził. Uwierzyli, boć przeca kartka była fajniście podpisano przez Hanysa jego mianem i przezwiskiem.

Ale Hanysek tej przyjocielskiej przysługi nie zaboczył, oj nie...

Po pewnym czasie Francik Smykała miał podbite łoko i spuchnięto papla. Wtajemniczeni łosprowiajom, że to mu Hanys łoddol coś z tego, co dostoł łod wszystkich w dniu swojej pierwszej świętej spowiedzi.

* * *

Nauczycielka: — Kokot powiedz mi, wiele jest trzy razy śtyry?

Kokot: — Dwanoście.

Nauczycielka: — Dobrze. A wiele jest śtyry trzy razy trzy?

Kokot: — Śtyry trzy razy trzy jest szesnoście.

Nauczycielka: — Źle!

A pragnąc nieukowi wytłómaczyć rzecz poglądowo, każe przynieść swojego pieska skomlącego pod drzwami klasy. Bierze więc psa i zwracając go głową do ucznia pyta:

— Co to jest?

— To jest pies, — pado uczeń.

— Dobrze, — a odwracając teraz psa drugą stroną do ucznia, pyta: — A co to jest?

— To jest suczka, proszę pani nauczycielki.

*

*

*

Nauczyciel: — Bomba! Jakich znasz proroków?

Bomba: — Eljasz.

Nauczyciel: — Dobrze! Teraz ty, Pluta, zmianuj też jednego!

Pluta: — Pistulka!

Nauczyciel: — Co? Pistulka? A cóż to za prorok?

Uczeń Pluta: — No, skoro Eljasz jest prorokiem, to Pistulka tyż musi być, bo łoba przeca kradli!

* * *

U Nauczyciel: — Płazy to są stworzenia, które ani stać, ani chodzić nie mogą, tylko pełzają po ziemi. Kto z was zna takie stworzenie?

Jeden z uczniów: — Nasz Alojzek w domu, panie rehtór, jest takie stworzenie, bo łon nie umie stoć, ani łazić, jyno bajuko po izbie.

* * *

— Lelek, ile dzień ma godzin?

— Pięćdwadzieścia.

— Co? Któż cie to tak nauczył?

— A pon rehtór wcoraj padali, że terozki dzień już ło godzina jest dłuższy!

* * *

— Co to jest cud?

— Nie wiem, panie rehtór.

— No, gdyby na ten przykład słońce świeciło w nocy, co byś powiedział co to jest?

— Miesiączek.

— No, ale gdyby ci powiedziano, że to jest słońce, jak byś to nazwał?

— Ano, że to cygaństwo.

— A gdybym ja, co nigdy nie kłamie, powiedział ci, że to słońce?

— Tobych pedzioł, że łoni sie łożarli, panie rehtór.

* * *

Nauczyciel tłumaczy uczniom o pożyteczności zwierząt i co człowiek wszystko od nich otrzymuje:

— Widzicie, moje dzieci, pszczołka daje nam miód i воск, od krowy mamy mleko i skórę na obuwie, świnia daje nam mięso i szczecinę do szczotek i tak dalej.

— A jakie bydłatko dało ci ubranie? — pyta rehtór Karlika.

— Moi fater, panie rehtór.

* * *

— Zeflik, czemu twój brat dziś nie przyszedł do szkoły?

— Bo proszę pana rehtora nie mógł.

— Czy mu czego brak?

— Tak jest... galot.

* * *

Przed wiejską szkołą zatrzymał się wóz z mlekiem, zaprzężony w osła. Syncyska drożniom biedne zwierzę, jeno potulny Hanysek stoł na boku i nie broł udziału w tym gałgaństwie. Chłopcy dokuczają coraz bardziej osiolkowi. W tem nadchodzi właściciel wózka, syncyska uciekają, jeno Hanysek zostaje przy

wózku, kiery w poczuciu swej niewinności był pewny, że mu sie nic nie stanie... i naroz dostał festelnie w gęba.

Nie czekając, aż drugi roz dostanie, ucieko do sieni szkoły i wpada na księdza kapelonka, kierzy tam ucyli katejmusku.

— Co to za zachowanie, — woła oburzony księżoszek i maznął Hanyška bez gęba.

Z płaczem i wrzaskiem wpod Hanyšek na schody i spotyko pana rehtora.

— A ty co tak skrzecysz, najduchu?

— Bo ksiądz kapelonek dali mi w pysk, a jo przeca temu osłowi nic-ech nie zrobił!...

I Hanyšek zaś dostał po raz trzeci w pysk.

* * *

— Podobno jeich synek dostał zły stopień z historii.

— A bo tym rehtorom to sie już we łbach poprzewrocało... pytają sie biedne dziecko ło takie rzeczy, kiere sie stały, kiej go jeszcze na świecie nie było.

* * *

Opis konia.

(Zadanie szkolne.)

Koń noleży do zwierzont domowych, jak gęś, kokot, kura, gołomb i płoscyce, chociażki mało kiery mo konia w doma, chyba że ten

istny jest kuczerem, „bergdyrechtoem“, abo szergom¹⁾). Jak wszystkie zwierzynia domowe, koń należy do zwierząt pożytecznych, bo dowo człowiekowi zarobek, chociaż mu nie dowo mlyka.

Koń jest długi i mo na samym przodku srogo głowa, kiero sie nazywo końsko głowa, abo łeb. We łebie po łobuch stronach mo koń łocy, kiere som zawsze ślepe, skiż cego nosi koń bryle²⁾ ze skóry, przez kiere jesce mniej widzi, jak przedtym. Koń, kiery jest ślepy na łocy, widzi z przodku taksamo, co i ze zadku. Koń niemo kudłów na łebie, a jeno na karku i tym sie różni łod człowieka. W gembie nosi koń zęby, jak człowiek, po kierych sie poznowo, cy koń jest stary, cy młody.

Koń mo z wierchu pukiel, (cyli jak rechtór padają grzbiet), kiery sie ciągnie bez całygo konia aż do zadku, a jest na to, aby na nim mogło sie rajtować. Ten pukiel jest zawsze bardzo chudy i łostry i lo tego trza mu zawsze przywiązać siodło, abo rubo deka, ażeby sie tyn, co na nim rajtuje, nie łożłupoł na poły. Na każdym końcu mo koń jedna szłapa, do kupy śtyry, z kierych jedna zawsze jest popsuto

¹⁾ hyclem.

²⁾ okulary.

i zawsze musi lotać na trzech, abo na jednej. Zadnią szłapą koń świto, na co trza bardzo dować pozór, bo to jest niezdrowe. — Na samym zadku mo koń łogon, z kierego sie robi matrace, abo pendzle, a kierym se koń może chuścić, abo łodganiać muchy.

Mędzy łogonem a łebem mieści sie cały koń, kiery mo na bokach wystające ziebra, kierych koń nie śmie widzieć, aby nie umar ze strachu, że jest taki chudy. Skiż tego dowo mu sie na ślypie bryle.

Z konia robi sie wusztliki końskie. Używo go sie tyż do rajtowania i zaprzynganio, ale coraz maniej, bo ludzie wolą terozki jechać na kole abo na autoku.

Jeśli koń jest rodzaju żeńskiego, to pado sie na niego kobyła, abo śkapa, cego jednak łoz-poznać nie idzie, bo koń męski wyglondo tak samo jak koń babski, kiery nie nosi kiecek. — Koń jest stworzyniem bardzo dobrym i pożytecznym, cóż z tego, kiej go jest coraz to maniej, a to skiż tego, że go ludzie coraz to więcej zeżyrają. Koń je trowa, siecka abo łowies. Piwa, ani gorzołki nie pije. Cytać tyż nie poradzi, bo nie potrzebuje chodzić do szkoły.

*

*

*

W jednej wiosce otrzymał pon rechtór w podarunku łód jednego z wdzięcznych łojców ucznia, mendel jaj. Uradowany tem bardzo postanowił skorzystać ze sposobności, jako że prawie była lekcja rachunków i przerobić na owych jajach do kupy z uczniami cztery działania rachunkowe.

Zaczon więc nauka w te słowa:

— Słuchajcie ino, dzieci i dowejcie pozór. Na górze mom koszyczek z jajami. Idzie tam Pluszczyk i przynosi trzy jajka, potym idzie tam Różła Gmyrek i przynosi coś śtyry. Wielu to bydzie do kupy? No, powiedz Pataś!

— To bydzie siedym!

— Bardzo dobrze! No, a terozki jo śniesu jeszcze pięć. Wielu to bydzie do kupy? No, powiedz, Jendrek?

Jendrek sie zacyno śmioć do rozpuku i nie odpowiało.

— Czamu sie śmiejesz? Odpowiadej na pytanie, ośle dardanelski! — woło zagniewany rechtór.

— Jeckusie, panie rechtór, przeca łoni nie poradom snosić jajec, łód tego przeca som kury!...

*

*

*

— Hażbietko, nie gańba cie to, — pado rechtórka, — mosz już śternoście lot i nie potrafisz nawet bez błędu napisać własnego nazwiska?

— A cy sie to oplaci? — pado Hażbietka. — Za pora lot sie wydom i byda sie i tak inacej nazywała...

* * *

— Te Hanys, powiedz mi, skiż cego Pon Bóg stworzył kartofle?

— No toć zwyczajnie skiż tego, coby biedny człowiek miał tyż kogo ze skóry łobdzierać.

* * *

Nauczyciel w szkole wyjaśnia szczegółowo uczniom zdanie: „Wiek sędziwy należy szanować!” Chcąc się przekonać, czy dzieci zrozumiały, daje taki przykład:

— Powiedz mi Gomóła, jakbyś postąpił, gdyby do przepełnionego tramwaju, w którym siedzisz, wszedł staruszek?

— Pedzioł bych: Nie ryjom sie sam, bo nie ma placu!...

* * *

Nauczyciel: — Jak sie nazywosz?

Uczeń: — Nie wiem.

— No, a jak na ciebie w doma wołają?

— Śpiku, pódź ino sam!

* * *

Mały Karlik porząd przychodzi do szkoły na nauka za nieskoro. Pon nauczyciel źli, mówią:

— Te, Gnojek, wielach ci to już razy padół, żebyś nie przychodził do szkoły nieskoro, co?

Na to Karlik:

— Jo nie wia, panie rehtór, wiele razy mi to padali, joch se myślał, że łoni to wdycki zapisujom!...

* * *

Stworzenie świata.

Na katejmusku uczeń łosprowio przed kapelonkiem o stworzeniu świata, czego sie mioł nauczyć na spamieć:

— Ło stworzyniu świata. Stworzynie świata... Stworzynie świata, księżoszku! Jo to poradza, bardzo dobrze poradza, księżosku, bo mie muter dzisiok przepytali. Noprzód to było... to było... noprzód to nic nie było, księżosku, a dziepiero potym to było. (Cicho do ucznia, kiery siedzi obok:) — Lelek podpowiedz mi, dom ci śtyry knefle. — Jo poradza, księżoszku, jeny Lelek mie szteruje... cicho

być, nie podpowiadej! (cicho:) — Lelek, godej, dom sześć knefli... — Noprzód, księżoszku, Pon Bóczek wzion glina i lepiół i lepiół, a potym, księżoszku, dmuchnął, a potym księżoszku, chuchnął i pedzioł, iż to bandzie Adam i to był Adam, księżosku. Potym Pon Bóg pedzioł: Adamie! A Adam pado: Dobrze, księżoszku. A Pon Bóg pado: Idź spać. A Adam zarozki poszeł spać. Zaś potym Pon Bócek wyjon Adamowi..... (cicho:) — Lelek, co mu wyjon, dom ci jeszcze dwa knefle... (głośno:) Ja richtig, już mi sie spomniało, żebro mu wyjon, żebro, księżoszku. Potym Pon Bóg łoskroboł, łoskroboł i doł go na słonecko, coby wyschło, księżoszku. Potym Pon Bóczek z tego żebra stworzył Ewa, coby im było przyjemnie... nie, coby Adamowi było dobrze. Potym Pon Bóg zawiedli ich do raju i pedzieli: Sam se możecie wszystko jeść i wszystko pić, jeno coby nie jedli płonka, księżoszku. I łoni nie jedli płonek, księżoszku. Ale potym przysła na basoku tako ślanga, co sie zwała wonż, ło kierego sie drzewo łokręciło nałobkoło kole tej ślangi. A cy jo to wiem, księżoszku, to był djobel i pedzioł: Frelko! — A Ewa pedziała: Cego wcom, panie djoble? — A łon pedzioł: Frelko, zje-dzom se te jabłko, bardzo jest fajne. — A... a

łona pedziała: Kiej sie boja. — A łon pedzioł: Głupioś, jak sto dREWien, jedz i nic nie padej. I łona zjadła, księżoszk, a potym dała Adamowi. Potym sie skryli za krzoki, bo zmiarkowali, że niemajom koszule i som blank goło. A Pon Bóczek padają: Adamie: — A Adam nic, księżoszk. A Pon Bóg padają: Ty drachu, kajś to wloził? — A Adam pado: A dyć sam-ech jest, księżoszk, bo mie gańba, niemóm galot, ani spodnioków, stoja goły. A Pon Bóczek pedzieli: Dockiej, ty jancykryście, jo ci pokoża! I... i... potym Pon Bóczek zawołali takiego Anioła i pedzieli do niego: Wyciep mi tego huncwota z raj! I potym zarożicki ten anioł chycił tego anioła za kragiel, nie... ten kragiel Adama za anioła.... ni, ten Adam kragla za anioła... Księżoszk, jo poradza, jeno mi sie ten kragiel tak poprzekręcoł... Kragiel Adama za Anioła i wyciep go z raj... I to byli nasi piersi łojcowie, księżoszk... (z płaczem) Jo księżoszk tak-ech fajnie poradził, jak mie mamulka przepytali... jeno ten gizd Lelek mie tak bałamucił!.....

*

*

*

Rechtór: — Dowej ino pozór, Gustlik. Jak z przodku byda miol północ, z lewej strony

zachód, a z prawej strony wschód, to co byda
miał na zadku?

Gustlik: — Panie rehtór.... kiej sie wsty-
dza pedzieć!...

* * *

— Gustlik! — pyto rehtór w szkole, —
co otrzymujemy z gęsi?

— Z gęsi momy dobre mięso.

— Dobrze, co jeszcze?

— Z gęsi momy tłuste.

— Dobrze, ale nie mówi się tłuste, a mówi
się tłuszc... Ale co jeszcze mamy z gęsi? No,
nie wiesz?... Co macie w domu w łózkach?

— Płoszcyce, panie rehtór.

* * *

W szkole na lekcji religji jest nauka o po-
chodzeniu człowieka. Jakoś przemądrzała
uczennica wyrwa sie i mówi:

— Prosza księdza katechety, mój tatulek
padali, że my pochodzimy od małpy.

— Tak, to powiedz tatulkowi, że my sie
sam historją jego rodziny nie zajmujemy, a ino
historją biblijną — pado ksiądz katecheta.

* * *

Mały Gustlik chodzi do gimnazjum i jest
uczniem pierwszej klasy. Kiedyś (zdarza się
to bardzo często) był bardzo niegrzeczny. Pan

profesor, którego napomnienia nic nie skutkowały, przesłał ojcu Gustlika karteczka z następującą treścią: „Gustlik zachowuje się w klasie niegrzecznie, ustawicznie gada i przeszkadza innym w nauce.“ Karteczkę tę miał Gustlik na następny dzień zwrócić p. profesorowi z podpisem ojca.

Gustlik przyniósł nazajutrz wspomnianą karteczkę, na której obok podpisu ojca przeczytał zdanie: „Panie profesorze, to jeszcze nic, to by dziepiero musieli poznać jego matka — ta dziepiero godo, aże godo!!!

* * *

Nauczycielka zadała w klasie szóstej uczniom opracowanie na temat: „W jakich wypadkach przewyższają zwierzęta ludzi?“

Roztropna Ludka napisała:

„Łabędziom albo pannom wyrasta ze skóry samorzutnie piękne odzienie z piór, mojej mamusi nie! — Wielbłąd może całemi dniami chodzić nie pijąc, mój ojciec nie.“

* * *

— Kopyciok, powiedz mi, dlaczego Cham śmiał się z ojca swego Noego?

— Bo sie Noe łożar, panie rehtór!

— Bardzo dobrze, (ale nie mówi się łożar, a upił)... Ale gdyby i tak było, czy śmiałybyś się z własnego ojca?

— Nie, panie rehtór.

— Dlaczego?

— Bo każdy raz, jak moi fater przyłazom do dom łożarci, to jo już śpia.

* * *

Opis świni.

(Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali.)

...Świnia, jako że mo styry szłapy, to noleży do zwierząt. Świnia zaczyno sie łod przodku dwiema dziurkami łobtoconymi mięsem, co sie nazywo ryjok. Ryjok jest bardzo świni potrzebny, bo go wszandy wrožo, aby coś wywoniać, a co zaś wywonio, to zaroz pakuje do pyska. Pysk świni skłodo sie z zembusków, długiego języka i tego, co tam wrožo. Język włazi prosto do żołądka, kiery przyjmuje wszystko i jest bardzo srogi, bo kożdo świnia mo wielki apetyt i żre ciągiem i lo tego nazywo sie świnia, jak kożdy inkszy, kiery łonacy to samo. Wszystko żarcie przemienio sie u

świni w preswurszt¹⁾) i krupnioki²⁾), żymloki³⁾) abo leberka⁴⁾), kiere są skiż tego, bo świnia żre wszystko, co znojdzie na drodze swego żywota.

Świnia kończy sie na zadku małym ogonkiem, kierym mele na wszystkie strony, bo cego inkszego z śnim robić nie poradzi. Cało świnia stoi na styrech patykach, kiere sie tyż nazywajom nogami. Nogi sięgają od wierchu aż na spodek do samej ziemi. Skiż tego świnia stoi.

Świnia łoblepiono jest marasem, pod kierym znajduje sie skóra, kierom świnia jest łotocona, aby sie nie łozleciała.

Chłopem łod świni jest wieprzek, kiery nigdy niewie, camu żyje, aż go zakatrupią.

Dziecko łod świni nazywo sie prosie. Mordercą łod świni jest masorz, kiery jom łozłonacy. Łod chwili, łod kierej masorz świnia zabije, to łona już nie żyje. Łoczyszczony zadek łod świni nazywo sie szynka, kiero każdy bardzo rod spuszczo z apetytem, jak mo na to. Inksze kąski łod świni sprzedowo masorz na mięso, z kierego robi sie niedługo milionerem.

¹⁾ salceson.

²⁾ kaszaki.

³⁾ kiszka z bułki.

⁴⁾ wątrobianka.

Do strzewów łód świni wrożo masorz mięso i inksze łodpadki, co sie potem nazywo kielbasa. Lepsze kaski zjodo masorz som, lo tego masorz woży tyła, co pietnoście urzędników abo pięćdwadzieścia robotników do kupy. Świniów jest u nos za tyła. Świnia łoglądać można w szlamie i chlywie, na pastwisku i na spacerze, na wsi i w mieście. Nasz kraj jest bardzo bogaty w świnię i mógłby dużo świń wysyłać do inkszych krajów, ino świnię nie chcom, bo im sam u nos jest dobrze.

Izby, w kierych mieszkajom świnię, nigdy sie nie schronio¹⁾) i dlo tego sie chlywikami nazywajom. Głos łód świnię podobny jest do mlaskającego abo chrapiącego człowieka, a wtedy my nie wiemy, kiery drugiego przedrzyźnio.

Są roztomajte świnię: jak kiery jest pragliwy i łakomy, to padają na niego świnię. Jak sie dziecko łobćko²⁾) abo łopaprze, to mamulka padajom „prosia“. Jak chto na swojā wiara abo ojczyzna przeżywo, to padajom, požądni ludzie, że to już ober-świnię. Jak kiery nie wie, czem jest i nosi mantel na łobu ramio-

¹⁾ sprząta.

²⁾ obje.

nach i sprzedo sie za pora złotych, to tyż padajom, że jest świnia... i tak jest!

* * *

— Francik, powiedz mi, wiela jest jeden więcej jeden?

— Jo nie wiem, panie rehtór.

— Dej ino pozór, jo ci to wytłumaczę: Powiedzmy, żeś chwycił dwa ptaki. W jednej ręce trzymasz jednego, w drugiej też jednego. Wiele to będzie razem?

— To bydom dwa, panie rehtór!

— Bardzo dobrze, a jeśli teraz jednego puścisz, to co będzie?

— To... to będzie śmierzdieć, panie rehtór!

* * *

— Wytłumacz mi, Gramuła, czemu w tym psalmie jest pedziane, że pijoki wybrali se najszyrzo droga z wszystkich, kiere wiadom do piekła?

— A dyc skiż tego, księżoszku, że każdy pijok sie zatoco, toż tyż musi mieć dużo placu.

* * *

W szkole jest lekcja przyrody. Rehtórka łosprowio ło krowie i ło pożytku, jaki z tego zwierzęcia mamy.

— A teraz powiedzcie mi, dzieci, poco krowa mo ogon?

Cisza... Naroż podnosi palec mała Stazyjka i pado:

— To skuli tego, coby krowie tak nie było wszystkiego widać...

* * *

Nauczyciel w szkółce pragnąc dzieciom dokładnie objaśnić znaczenie sumienia, mówi do jednego z uczniów:

— Przypuśćmy, że skradłeś kawałek cukru i szybko włożyłeś go do ust, usłyszawszy, że ktoś wchodzi. Cóżby się wtedy stało?

— A dostałbych lejty, — pado dziecko.

— No dobrze, ale byś się zaczerwienił ogromnie, prawda? A czemu?

— No skiż tego, żebych chcioł wartko łyknać ten cukier.

* * *

— Hanys, powiedz mi, co to jest stary kawaler?

— Stary kawaler to jest szczęśliwy człowiek, panie rehtór.

— A skąd ty to wiesz?

— No bo fater prawią to co dzień do mutry.

* * *

— Hanys, powiedz mi, co to jest góra?

— Góra, góra, panie rector, to jest takowesie miejsce, kaj moi muter wieszajom pranie.

* * *

Nauczycielka na lekcji przyrody opowiada o kwiatach. Pragnąc dzieciom uzmysłowić różnicę pomiędzy pięknem róży i fiołkiem, prawi:

— Wyobraźcie sobie wysoką piękną panią, kroczącą z dumnie podniesioną głową... jest bogato ubrana, na nikogo nie spojrzy, nikomu się nie ukloni... to róża. A teraz za nią idzie stworzenie niepozorne, skromnie spuszcza głowę.... co to jest?

Cała klasa wrzeszczy:

— To jej mąż... To jej mąż!

* * *

W klasie lekcja religii. Temat: modlitwa wieczorna. Ponieważ nauczyciel na lekcji poprzedniej tłumaczył dzieciom znaczenie modlitwy porannej, chciał więc naprowadzić uczniów na konieczność odmawiania modlitwy wieczornej. Pyta więc:

— Rzychoń! Co robisz wieczorem, kiedy kładziesz się spać?

— Pięknie się umyja.

- Dobrze... A ty Buła co robisz?
- Jem, panie rehtór.
- Dobrze... No a ty Kopyciok, co robisz?
- Zadanie szkolne.
- Bardzo dobrze.

Nauczyciel pyta kolejno szereg innych uczniów, żaden jednak nie mówi, że się modli. Nauczyciel nie daje za wygraną i pyta, chcąc ułatwić odpowiedź:

— Słuchajcie no, dzieci, wy mnie nie rozumiecie. Co robi wasza mama, jak się kładzie spać?

Z oślej ławki podnosi się palec.

— No, Kapuściński? Co robi mama?

— Goni błęchy!...

* * *

Do pewnej wiejskiej szkółki przychodzi na lekcję geografii pan inspektor szkolny. Na stole stoi globus z łukiem mosiężnym i krzywą osią. Inspektor pyta się dziewczynki:

— Musiolik, powiedz mi, czemu ta oś jest krzywo?

Musiolik z płaczem:

— Joch to nie zrobiła.

Inspektor pyta chłopca:

— Knefel, powiedz ty.

Knefel:

— Joch tyż to nie zrobił.

Wtem podchodzi do inspektora nauczyciel i szepce mu na ucho:

— Panie inspektorze, mychmy to już takie kupili...

Inspektor, oburzony tym zajściem i nieuczciwem nauczyciela, opowiada o tem przy kolacji miejscowemu plebanowi, u którego miał zanocować. Pleban po wysłuchaniu opowieści oświadcza z godnością:

— Tak, tak, ja zawsze w Radzie Szkolnej powtarzam, żeby od żydów nie kupować...

* * *

W szkole lekcja przyrody. Pon rehtór łosprowio o mrówce i jej pracowitości. Mówi, że mrówka jest tak silna, że unieść może ciężar kilkakrotnie od niej większy i cięższy.

— No Karlik, — pyto nauczyciel, — cóżby się z tobą stało, jakby tobie ktoś taki ciężar włożył na plecy?

— Jeckusie, panie rehtór, jobych zarozki do galot nasuł....

* * *

Krowa.

(Opracowanie Zeflika Gromotki, ucznia 2-giej klasy szkoły średniej.)

Krowa jest zwierzakiem domowym i ssącym, krowa ma sześć stron, jedna prawo, drugo lewo, jedna na wierchu, jedna na dole, jedna na przodku i jedna na zadku. Krowa jest całko łobciągnięto skórą wołową, a na zadku ma łogon z puszem na końcu. Z tem puszem łodganie muchy skież tego, coby nie powpadały do mlyka. — Blank na przodku ma krowa gowa, a to na to, coby tam mogły rość rogi i coby był plac na pysk. Rogi ma krowa na to, coby mogła bość, a pysk coby miała z cem ryceć. Na spodku pod krowom wisi mlyko, kiere ma urządzenie do ciągnięcia. Jak ludzie za to ciągnięcie ciągnom, to leci z śniego mlyko. Mlyko robi krowa wdycki, tak że się nigdy nie kończy. Jak łona to robi — tegochmy jeszcze nie mieli.

Krowa wonio bardzo fajnie i cuć jom już z daleka, to robi fajny wiejski luft. Chłop łod krowy nazywo się wół, kiery wyglondo tak samo jak krowa, jeno że niemo na spodku mlyka, dlatego wół nie jest zwierzonkiem ssącym. Wół to jest tyż przewisko.

Krowa mo każdego roku ciele. Jak łona to robi, nie wiem, bochmy sie tego nie ucyli jesce. Mój starszy brat to wie, ale mi nie chce za darmo tego pedzieć. Ciele żywi sie ssaniem, lo tego tyż należy do zwierząt ssących.

Krowa żre trowa, łoskrabiny i mlyc. Jak krowa ma dobre jedzenie, to wdycki za to robi dobre mlyko, a jak mo złe jedzynie, to robi nie dobre mlyko.

Jak na dworze jest gorko¹⁾, abo jak grzmi, to krowa robi skisłe mlyko. Krowa je bardzo maluśko. Co roz zjadła, je potym porząd to samo, tak długo, dopóty sie nie najadła. Co łyknie, to i sie zarozki zaś wzbijo i zaś mo pysk połny. Więcej już nie poradza.

* *

Nauczyciel pyto w szkole dzieci:

— Moje kochane dzieci, powiedzcie mi który jakie przysłowie.

Hanys wstaje i mówi:

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

— Dobrze! — mówi nauczyciel, — siadaj. Gustlik powiedz ty jakie przysłowie.

Gustlik wstaje i mówi:

— Deszcz leje jak z cebra.

¹⁾ gorąco.

— Dobrze, siadaj.

Wtem widzi nauczyciel, że Karlik dłubie w nosie i patrzy na muchy. Woła więc:

— Te Karlik, co dłubiesz w nosie, a nie uważasz na nauka? Powtórz zaraz to samo, cò ci trzech powiedzieli

Karlik naturalnie nie uważał, słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział, w którym kościele; wstaje i mówi:

— Jak se kto pościele i rano wstaje, to leje jak z cebra.

* * *

Na katejmusku pytajom ksiądz kapelonek:

— Te Karlik, co musimy uczynić przodzi, zanim łotrzymomy łodpuszczynie grzychów?

— Przodzi? Przodzi musimy zgrzyszyć, księżoszk... — pado Karlik.

* * *

Nauczyciel pyto sie roz w szkole:

— Co jest gorsze na świecie, jak djobel?

Karlik sie melduje i pado:

— „Gerichtsvollzieher“¹⁾, panie rehtór.

— A to po jakiemu?

— No bo wiedzą, nasi tatulek mieli koza, a wdycki jej padali, jak nie chciała jeść: by

¹⁾ komornik sądowy.

cie już roz djobli wzieni. Djobeł jednak nie przyszoł, ale zato przyszoł modry ujek i koza wzion.

* * *

Na lekcji religji w klasie drugiej nauczycielka opowiada z biblijki o plagach egipskich i o tem, jak to Mojżesz stanął przed Faraonem i rzekł: „To mówi Pan przez usta moje, Faraonie, wypuść mój lud.“ W trakcie tego opowiadania zauważyła nauczycielka, że Karlik Bąk nie uważa. Wyrywa go więc i każe powtórzyć opowiadanie:

— No Karlik, powiedzno, jak to powiedział Mojżesz do króla egipskiego?

Na to Karlik:

— Mojżys se stanół przed łonym, ciepnał mu kryka pod nogi, aż sie w ślanga przemieniła i pado: To mówi Pan i Bóg mój... faronie, puścis żydów, abo nie puścis?

* * *

Kochany nasz kapelon uczyli kiejś w szkole smyków małych katechizmu. Tłumacząc coś o Panu Bogu, padają:

— Cy Pan Bóg jest widzialny, to znaczy, czy go można widzieć.

— O ja, — pado mały Karlik.

— Po jakiemu? — pytają ksiądz kapelonek. — Czyś już widział Pana Boga?

— No, dyć-ech widział, — pado Karlik.

— A kaj? — pyta ksiądz.

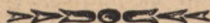
— Jakiech roz szoł z fatrem do ujka.

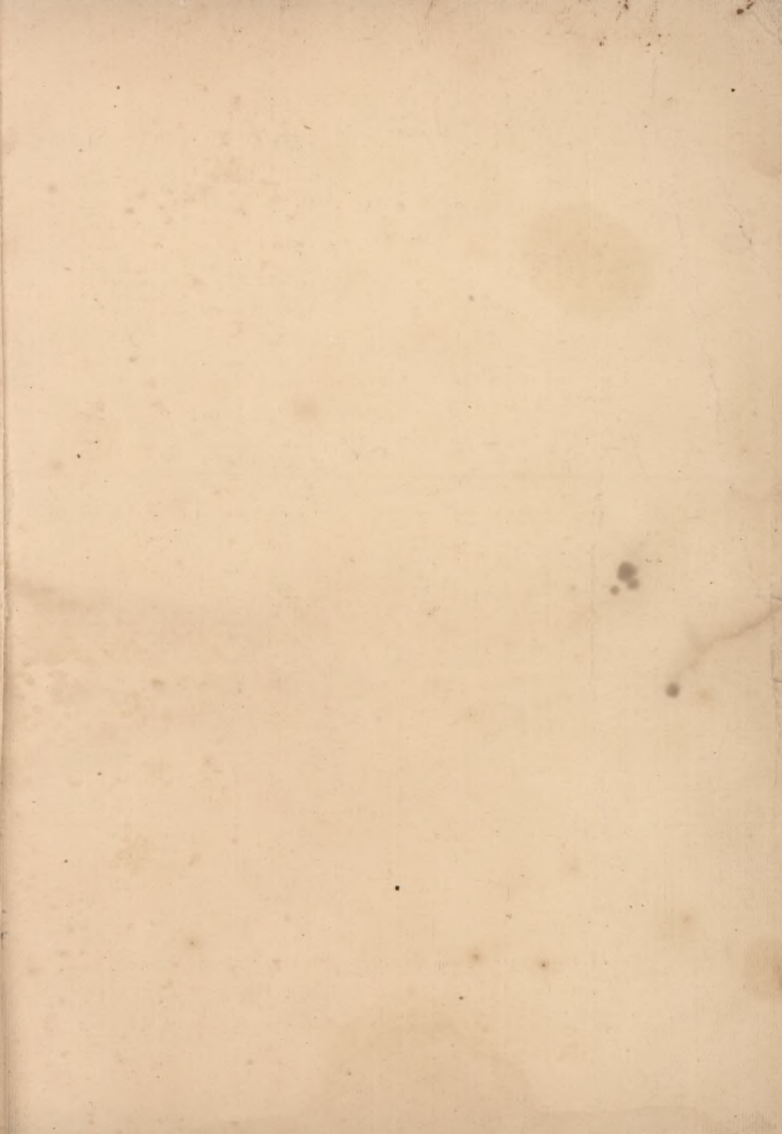
— A jakże wyglądał? — pyta ksiądz.

— Ano wyglądał tak blank, jak nasi fate-rek, taki srogi miał wons i taki ślips.

— No a jakeś to mógł wiedzieć, że to jest Pan Bóg? — pyto dalej ksiądz.

— No, bo łon fatra pozdrowił, a fater pe-dzieli: Mój Boże, toć żech cie już tak downo nie widział....





82088
K

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
Im. E. Smółki w Opolu

nr inw.:

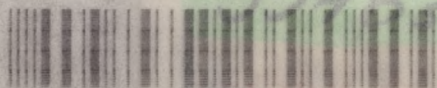
6436

Syg.:



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

3548 S



001-003548-00-0